

ANDERS BODELSEN

# OTWARTE DRZWI

tłumaczyła Urszula Knuth

# I

## Otwarte drzwi

*Drogi/droga (miejsce na imię konkretnego odbiorcy),*

W czerwcu 1954 roku grupa młodych Duńczyków pojechała do Smålandu, żeby obejrzyć ostatnie całkowite zaćmienie słońca w północnej Europie w tym stuleciu.

Ty byłeś jednym/jedną z nich. I ja też.

Było nas razem dwanaście osób, które w ødegardzie<sup>1</sup> Fricksbo spędziły trzy doby. W środę, trzydziestego, nastąpiło zaćmienie. Mieliśmy szczęście do pogody i udało nam się zobaczyć zjawisko natury, które było celem naszej wyprawy. Jednakże – jak niewątpliwie pamiętasz – przeżycie to przysłoniły wydarzenia, które rozegrały się później.

Jedna osoba z naszego towarzystwa, dwudziestojedno sięciu pięciu letnia studentka medycyny, Frida Lander z Charlottenlundu, zniknęła bez śladu.

Była, zdaje się, ciągle jeszcze z nami tuż przed, a może także i w czasie zaćmienia, ale nim dzień upłynął, zrozumieliśmy, że zniknęła, i nazajutrz byliśmy zmuszeni podnieść alarm. Policja wszczęła poszukiwania i w jeziora wokół Fricksbo zapuszczono sieci.

---

1 ødegard (duń.) – gospodarstwo na odludziu opuszczone przez właściciela. Wiele takich gospodarstw funkcjonuje dziś jako dachy (przyp. tłum.)

W jeziora Fricksjön, Torsjnön, Trymsjön i wiele innych, wszystkie głębokie. Zostaliśmy kolejno przesłuchani przez policję szwedzką, zanim pozwolono nam wrócić do Danii – bez Fridy.

Nigdy jej nie odnaleziono, żywej ani martwej.

Sprawdziłem osobiście, że policja duńska złożyła akta sprawy, najprawdopodobniej identyczne ze szwedzkimi, do archiwum. Nie ma do nich bezpośredniego dostępu, próbowałem.

Dziwisz się czemu dostajesz ten list czterdzieści dwa lata po zniknięciu Fridy. Ja w gruncie rzeczy też się dziwię. Dziwię się, że w końcu zabieram się na serio do realizacji planu, który chodził mi po głowie przez tyle lat; dla spokoju ducha – czy jakkolwiek by to nazwać – pragnę po raz ostatni, razem z wami, prześledzić i rozważyć, co się stało przez te trzy doby w Szwecji.

Jeśli uważasz, że list ten jest nie na miejscu, nietaktowny, to wyrzuć go. Ale gdybyś miał/miała ochotę, tak jak ja, jeszcze raz powrócić do tej starej historii – to przeczytaj go do końca i ewentualnie napisz do mnie list – długi lub krótki – o tym, co pamiętasz, a o czym ja mogłem zapomnieć.

Myślę, że zapomniałem niesłychanie wiele. Tyle szczegółów zatarło się w pamięci, a może nie były to wcale szczegóły? Ale samo zaćmienie pamiętam tak wyraźnie, jak mało co w życiu. Trzy i pół minuty gęstych ciemności w środku upalnego letniego dnia. Pamiętam też okoliczności dotyczące zniknięcia Fridy, oczywiście nie wszystkie, ale za to bardzo wyraźnie pamiętam nasz nastrój w czasie tej ostatniej doby w Szwecji. To poczucie czegoś niewytłumaczalnego, niezakończonego. I to nie tylko podczas pierwszych dni, potem czy nawet przez resztę lata, ale w dziwny sposób rozciągające się na czas zupełnie nieokreślony, do dnia dzisiejszego. Poczucie przebywania w pomieszczeniu, które ktoś opuścił, nie zamknąwszy za sobą porządnie drzwi.

Zatrważający nieład.

Ale spróbuję, w miarę krótko, spisać, co osobiście pamiętam z wyprawy do Szwecji.

Pomysł był mój.

Myślę, że dla was to zaćmienie było świetnym pretekstem do wesołej wycieczki do Szwecji. Dla mnie była to sprawa życia i śmierci. W Danii zaćmienie miało być tylko częściowe – około dziewięćdziesięciu pięciu procent – i to wcale mnie nie satysfakcjonowało. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent też nie! Byłem zwiariowanym astronomem amatorem, miałem osiemnaście lat, ale do tego wydarzenia przygotowywałem się od jedenastego może dwunastego roku życia.

Początkowo zamierzałem przejechać rowerem całą drogę do Smålandu i nocować w namiocie. Ale doszła do skutku wspólna wycieczka. Mój starszy brat, Torsten, chodził z Ullą, młodszą siostrą Fridy, i to przez Ullę i Fridę nawiązaliśmy kontakt z resztą z was i znaleźliśmy ødegard Fricksbo koło Torsryd, gdzie mogliśmy zanoćować. Niektórzy z was pojechali samochodem, ja sam rowerem do Helsingör, potem wziąłem go do pociągu i z Hälsingborga popedałowałem dalej. Mój starszy brat miał jechać z nami, ale na krótko przedtem został wezwany na letnie manewry na Bornholmie (był podporucznikiem rezerwy i wzywano go na Wielkanoc, latem i jesienią).

Muszę tutaj nadmienić, że mój brat zmarł osiem lat temu. Ożenił się, ale nie z Ullą. Ja sam nie ożeniłem się nigdy. Po odsłużeniu wojska ukończyłem studium pedagogiczne, zostałem nauczycielem w szkole podstawowej i jestem nim po dziś dzień. Można powiedzieć, że nigdy nie miałem dzieci, ale można też powiedzieć, że miałem ich nieprawdopodobnie dużo. Na swój sposób spełniło się też moje marzenie, żeby zostać astronomem. Napisałem dwie popularnonaukowe książki o kosmosie i sporo wolnego czasu poświęcam na prowadzenie kursów wieczorowych z zakresu astronomii. Mam szczęście mieszkać w ciemnym zakątku zachodniej Zelandii, i tu, w ogrodzie, urządziłem sobie własne małe obserwatorium. Żadne ciało niebieskie nie zostanie pewnie nazwane moim imieniem, ale jest to jedyne marzenie z mojej młodości, które się nie spełniło!

Wracając jednak do wycieczki. Z rowerem w pociągu dotarłem do stacji Torsryd i przepedałowałem te ostatnie pięć czy sześć mil. Było dość ciepło, ale zasnute wilgotną powłoką niebo nie wróżyło nic dobrego. Do lewej rączki kierownicy przyklepiłem czerwony plaster, żeby nie zapomnieć o ruchu lewostronnym. Był dwudziesty dziewiąty dzień czerwca. Ciągle jeszcze pamiętam, jak jechałem przez brzozowy las i jak nagle, nad migocącym listowiem, ujrzałem błysk nieprzesłoniętego słońca. Zupełnie jakby próbowało, ku mojej radości, wypalić w miejsce tej małej dziurki, którą znalazło w chmurach, coraz większą i większą. Las zaczął pachnieć, ubita droga zalatywała specjalną smołą, którą Szwedzi wylewali w owym czasie, żeby się nie kurzyło. Do tego dochodziła ziołowa woń brzozowych liści i metaliczny zapach leśnego poszycia, rdzawej ziemi pod mchem. Słońce ciągle jeszcze walczyło o zachowanie prześwitu, kiedy skręciłem z drogi i dalej pojechałem wąską ścieżką według odręcznie narysowanej mapki. Mój rower był ciężko obciążony śpiworem, ubraniem na trzy doby, kuchennymi kłopotami i prowiantem. W dobrze zabezpieczonym plecaku wojskowym, który pożyczyłem od brata, leżało małe pudełko ze szkiełkami; sam je przyciąłem i po przyjeździe zamierzałem dla wszystkich okopcić. Ponieważ cała wyprawa była moim pomysłem, czułem, że na mnie spoczywa odpowiedzialność, żeby nikogo z nas nie oślepiło zaćmienie. No tak, to oczywiste, że każdy sam jest odpowiedzialny za swoje życie. Ale gdyby nie moja inicjatywa, nigdy byśmy się – te dwanaście osób – nie spotkali ze sobą. Z Fridą też nie. Czy to znaczy, że do dziś by jeszcze żyła? W ciągu minionych czterdziestu dwóch lat niezliczoną ilość razy nawiedzała mnie ta myśl. I nie przestaje mnie nękać, choć nawet nie można stwierdzić z całą pewnością, że Frida nie żyje.

Fricksbo. Polana w gęstym, brzozowym lesie. Na końcu świata. A na środku polany stoi niski, pomalowany na czerwono drewniany budynek, na kamiennych fundamentach, trójskrzydłowy. Ktoś już się zjawił, zaparkował samochód, jak mi się zdaje, rodziców Barbary, rover w kolorze gołębiego błękitu, z kremowym dachem. Pożyczyci nam nie tylko swój ødegard, ale i samochód.

Pamiętam, że oprowadzano mnie dookoła; pod dachem było dość miejsca dla wszystkich, a jednak uparłem się, żeby rozbić swój mały namiot na polanie przed domem. Nie znałem was zbyt dobrze, a poza tym miałem ze sobą namiot. No tak, znałem Ullę, bo ona знаła mojego brata. A przez nią znałem także Fridę, daleką i nieosiągalną, trzy lata starszą ode mnie, doświadczoną medyczkę. Byłem najmłodszy w grupie i jedyny, który nie skończył gimnazjum (Ulla chyba też, ku swojej irytacji, była jeszcze uczennicą). Mimo to za cud, który miał się wydarzyć, odpowiadałem tylko ja!

Pamiętam, jak okopciłem przywiezione szkiełka i wręczyłem po jednym każdemu z was. I pamiętam, że czułem się trochę głupio z powodu moich wielkich przygotowań. Przygotowałem dla was również wykład, ale zrezygnowałem z niego. Postanowiłem zachować większość swojej wiedzy dla siebie.

Trzy doby, z których trzeba zdać rachunek. Pierwszego dnia przyjeżdżamy i urządzamy się. W drugim dniu następuje zaćmienie. W czasie trzeciej doby większość z nas powinna spakować manatki. Ale tuż po zaćmieniu, wieczorem, dociera do nas, że nie jesteśmy już w komplecie. I ta trzecia doba schodzi na poszukiwaniach Fridy i zgłoszeniu, że zniknęła i że postaramy się pomóc miejscowej policji.

To wszystko to za ledwie przebliski wspomnień. Pamiętam pierwszy wieczór, kiedy zebraliśmy nasz prowiant. Potem raczyliśmy się trunkami, zakupionymi z pewnością na promie. Midsommervaka<sup>2</sup>, kiedy to najbardziej martwiło mnie zaciągnięte chmurami niebo w Smålandzie. Wydaje mi się, że piłem głównie pommac. Pamiętam, jak leżałem w swoim namiocie, z kieszonkową latarką i pommakiem i słyszałem tych z was, których długo trzymał na nogach gramofon; najpierw wiele głosów, w końcu tylko dwa – i tę samą płytę z niewiadomego powodu puszczaną w nieskończoność. To był „The Tennessee Waltz”.

A teraz tamten dzień. Byliśmy najszczęśliwszymi ludźmi w Skandynawii! Koło południa, cud nad cuda, dokładnie nad nami utworzyła się szczelina w chmurach! I robiła się coraz większa i większa. Ustawiliśmy się wszyscy przed Fricksbo. Przez okopcone szkiełka widzieliśmy, jak z tarczy słońca wygryziony został pierwszy kąsek. Gryzoń gryzł dalej, słoneczny dzień zszarzał, spadła temperatura. Szczelina w chmurach cały czas groziła zamknięciem, ale skończyło się tylko na groźbie.

Wszystko dzieje się tak, jak ludzie przez setki lat wyliczali, że się stanie. Świat jest matematyczny i przewidywalny. Tarcza słońca zostaje zakryta, jest noc, ptaki milczą, my się ścieśniamy, ale czy Frida jest jeszcze z nami? Kto zwraca na to uwagę? Mnie samego pochłania wyłącznie ta za krótka chwila, gdy zaćmienie jest rzeczywiście całkowite, gdy korona słońca skrzy się wokół brzegów księżycy.

---

2 Midsommervaka (szwedz.) – noc świętojańska. Dosłownie: czuwanie w środku nocy (przyp. tłum.)



Jestem aranżerem i mistrzem ceremonii naszej małej grupki. Ale w tych właśnie chwilach cała moja uwaga skupia się na spełnieniu proroctwa.

Zjawisko na niebie jest ulotne, stoję więc i próbuję je utrwalić, żeby pozostało we mnie na całe życie. Jak najkruchszy księżyc w nowiu, słońce znów pozwala się zobaczyć. Ciemności się rozpraszają, po chwili pieje kogut i zaraz potem znów ćwierkają ptaki, które zamilkły w tę najkrótszą noc swojego życia. Dziękują za światło. Drzę z zimna. Kiedy przymykam powieki, dociera do mnie, że byłem na granicy tego, co oczy mogą wytrzymać. Długo jeszcze migają w nich białe plamki, przez resztę dnia odczuwam zaburzenia, wywołane przez nerw wzrokowy.

Prześwit w chmurach zamyka się. Mieliśmy szczęście nie do opisania. I chyba upłynie wiele godzin, zanim ktokolwiek z nas zatroszczy się o to, czy jesteśmy w komplecie.

Tyle pamiętam. Resztę wiem, choć jej nie widzę. Noc upływa, a Frida się nie pojawia: przed nami inny, nieświętojański rodzaj czuwania. Alarmujemy policję. Wypytuje nas paru policjantów. Powrót do domu opóźnia się, ale chyba tylko o dobę. Podajemy nasze nazwiska miejscowej policji.

W parę tygodni później, pamiętam, odwiedza mnie duński policjant, a ja powtarzam swoje mgliste zeznanie.

Nie widziałem przecież nic innego oprócz zaćmienia.

Kiedy wracam myślami do naszej małej grupki z tego lata, myślę o niej jak o układzie słonecznym. Frida była Słońcem, gwiazdą. Piękniejsza i bardziej pociągająca niż człowiek może sobie wyobrazić. I do tego mądrzejsza. Pamiętam ją jako kogoś, przed kim nie można było mieć sekretów. Kto przenikał cię wzrokiem na wskroś. Przejrzyste szare oczy. Patrzy na mnie z zaciekawieniem, przekrzywia lekko głowę, a ja płacząc się w swoim opowiadaniu, bo wiem, że ona nie pozwoli sobie wmówić byle czego. Jest gwiazdą. Dookoła gwiazdy kręcą się planety. Wybacz mi tę wizję, była bowiem dziełem osiemnastoletniego chłopca. Tych z was, którzy byli jej najbliżsi, uważałem za planety. Wokół planet krąży parę księżyców. Ja sam byłem tylko niewielkim księżycem. Przez brata znałem przecież Ullę, zmieściłem się więc na peryferiach ich części układu. Kiedy światło Fridy zniknęło, zniknął układ.

Teraz mijają czterdzieści dwa lata, a ja siedzę tu i próbuję ponownie zebrać to wszystko, choćby tylko na papierze. Ułożyć mozaikę. Dowiedzieć się, kim była Frida, kim byliśmy my.

Włożyłem trochę detektywistycznej pracy w odnalezienie waszych nazwisk i aktualnych adresów. Jak powiedziałem, jeśli ten list zirytuje Cię, wyrzuć go. Jeśli nie, napisz do mnie i przyslij, o ile to możliwe, własny kamyk do mozaiki.

Twój oddany doradca astronomiczny z 1954 roku

*Allan*

## II

### Długi cień

*Drogi Allanie,*

Chcesz spróbować rzucić światło na te dni sprzed czterdziestu dwóch lat, gdy zniknęła moja siostra. Żeby od razu przystąpić do rzeczy: ja nienawidziłam Fridy. Nienawidziłam jej w sposób, w jaki ludzie, którzy stanowią rodzinę, zwykle się nienawidzą: bez słów. A zatem bez szansy, żeby to kiedykolwiek przemyśleć. Ona była przecież, jaka była. Nasza rodzina była, jaka była. Tego nie dało się zmienić. Żyłam więc obok swojej utalentowanej i pięknej starszej siostry Fridy, tak jak to się zwykle dzieje w innych rodzeństwach. Cokolwiek by to miało znaczyć.

Dopiero teraz, po wielu latach, potrafię ubrać swoje uczucia we właściwe słowa. To, że Frida zniknęła z mojego życia – i jak wszystko na to wskazuje, z życia wszystkich innych znających ją osób – niczego nie zmieniło.

Nie jest to oczywiście żadna odpowiedź na Twoją prośbę o relację z tych trzech dni, kiedy to razem obserwowaliśmy zaćmienie słońca w Szwecji. Ale chyba pod tym kątem powinienesz czytać dalszy ciąg mojego listu.

Pozwól, że przekażę Ci wyrazy współczucia w związku ze śmiercią Twojego starszego brata. Tak, Torsten i ja chodziliśmy ze sobą tego lata. Włączyliśmy się sporo po knajpach w mieście, lubił przecież wypić! Czy nie pojechał z nami do Szwecji? Nie pamiętam. Był moim pierwszym kochankiem – nasze pokolenie zaczynało dość późno – i wspominam go z wielką czułością. Nie byłam w nim zakochana ani on we mnie, ale pamiętam go jako dobrego kochanka; zrobił co trzeba, żeby obudzić uczennicę ze snu Tornerose<sup>3</sup> i wyzwolić z kompleksu niższości. Tak sobie myślę; ale być może przespał się ze mną przede wszystkim po to, by zapewnić sobie wstęp do domu, który był także domem Fridy.

Nas wszystkich z tego okresu opisujesz jako układ słoneczny z Fridą w centrum. Czy dla Twojego brata nie byłam najbliższą drogą do Fridy? A Ty, Allanie, czy Ty przypadkiem też nie przystałeś do swojego brata i do mnie po to, by dzięki temu znaleźć się bliżej Fridy? A może po tak długim czasie, z takiej perspektywy ciągle jeszcze widzę duchy?

Frida była przecież człowiekiem zupełnie wyjątkowym. Tak jak mój ojciec, ogólnie podziwiany ordynator, weteran fińskiej wojny zimowej, który podczas okupacji prowadził pełne brawury życie, w dzień jako chirurg serca i płuc, jako dywersant w nocy! Lekarz wojskowy z „Jutlandii”! Także jeśli chodzi o kobiety, był jurnym wojakiem, co matka przyjęła z rezygnacją.

---

3 Tornerose (duń.) – imię księżniczki z bajki, która spała sto lat pod różanym żywopłotem. Tornerose znaczy dosłownie: Kolczasta Róża (przyp. tłum.)

Ojciec niewątpliwie rozpoznawał we Fridzie siebie samego. Połączył ich jakiś nierozzerwalny pakt, zanim jeszcze we mnie, smarkuli, w ogóle rozbudziła się świadomość. Dlatego musiałam utworzyć swój własny pakt-namiastkę z mamą. Głęboka przepaść, o której nigdy się nie mówiło, dzieliła naszą rodzinę. Zapytuję samą siebie, czy można powiedzieć, że Frida i ojciec byli w sobie niewinnie zakochani?

Ja sama chyba też, na własny niewinny sposób, byłam zakochana w ojcu. Tyle że nie urodziłam się taka piękna jak Frida. Nie taka zdolna jak Frida, nie taka interesująca.

I może nie miałam takiego temperamentu? Chociaż nie, myślę, że miałam.

Czasami zadaję sobie pytanie, czy Frida rzeczywiście miała duży temperament. Być może mężczyźni wzbudzali w niej raczej ciekawość niż namiętność?

Ja sama, nim upłynął rok, poznałam, co to namiętność. Twój brat popchnął drzwi, ktoś inny otworzył je na oścież.

Ciebie, Allanie, zapamiętałam jako małego obserwatora życia. Nie bierz mi tego za złe, byłeś miłym młodszym bratem, snującym piękne marzenia o badaniu odległych ciał niebieskich. Zarówno wtedy, jak i dziś, co wynika z Twojego listu! Ale zaczynam tracić wątek. Co wiem o Fridzie? Odkryła ona, jak sądzę, że erotyka jest bardzo skutecznym środkiem w poznawaniu innych ludzi. Zadaję sobie pytanie, czy choćby jeden jedyny z jej licznych związków całkowicie ją zaspokoił. Tego nie dowiem się nigdy.

Kiedy rozpoczęliśmy poszukiwania Fridy w Szwecji, moją pierwszą myślą było, że tym zniknięciem moja siostra próbuje wzbudzić zainteresowanie innych. (Robiła to już wcześniej). A może była nami wszystkim zmęczona? I samą sobą? Wydaje mi się, że pamiętam, iż na tej wycieczce do Szwecji było przynajmniej dwóch jej wielbicieli. Jeden z nich w dodatku, zdaje się, bardzo interesujący, poeta, który napisał i wydał książkę. Bodaj tomik poezji. Może była zmęczona zarówno nim, jak i tym drugim, kimkolwiek był? Obejrzała już słynne zaćmienie, więc może wyruszyła na poszukiwanie następnego eksperymentu? Piechotą, przez niekończące się lasy brzoźowe, dopóki nie spotkałaby czegoś lub kogoś, kto znów wzbudziłby jej zaciekawienie?

Właściwie nie znałam swojej starszej siostry zbyt dobrze.

W ogóle jej nie znałam.

Chociaż przez długi czas myślałam, że tak. A potem uświadomiłam sobie, że ona naprawdę zaginęła. I jeśli nie wcześniej, to na pewno wtedy, kiedy znów byliśmy w Danii, a od Fridy nie nadeszła choćby jedna zabawna pocztówka. Wtedy pomyślałam, że teraz zaczniesz się dla mnie nowe życie.

Przez całe dzieciństwo żyłam w cieniu Fridy. Czy wreszcie przyszła moja kolej, żeby popławić się trochę w blasku?

Nie.

Z czasem musieliśmy przyjąć do wiadomości, że Frida zniknęła z naszego życia. Teraz ojciec powinien był zwrócić się w moją stronę i wreszcie rozpoznać siebie także we mnie! W cichej uczennicy, która co prawda nie miała zostać lekarką, ale która mogła przecież zostać sekretarką jakiegoś lekarza! Byłam córką swego ojca tak samo jak Frida, rozumiałam jego odwagę, tupet i potrzebę wolności nie gorzej od niej. Albo i lepiej. Teraz musiał to przecież zauważyć!

Ale szybko odczułam, że martwa Frida kładzie się na moje życie większym cieniem niż żywa. Szanowałam żałobę rodziców. Sama wprawdzie cieszyłam się, ale to była samotna radość.

Można by pomyśleć, że rodzice, którzy stracili jedno dziecko, będą kochać to, które pozostało, jeszcze bardziej niż przedtem?

Ale nawet moja mama, moja powiernica, nie dała mi ani przez chwilę odczuć, że stałam się bardziej niezastąpiona. Wręcz przeciwnie, zdawało mi się, że oboje uważali, iż największym błędem jest to, że się w ogóle urodziłam! Widocznie to ja powinnam była zniknąć. W jakiś szaleńczy, przewrotny sposób, okazało się moją winą, że Frida zniknęła. Że jej pokój, pokój-muzeum, stoi pusty, że już dłużej nie roi się w naszym domu od tych wszystkich osób, które kręciły się wokół Fridy.

Allan, jeśli chcesz znaleźć winnego, to źle trafiłeś. Przyznaję, że miałam motyw, żeby wyprawić Fridę na tamten świat, ale Bóg mi świadkiem, nie zrobiłam tego.

Twój brat był jednym z tych, którzy przestali do nas przychodzić. Drugim byłeś, prawdę mówiąc, Ty. Moi rodzice zamknęli się w sobie, ale mnie nie zachęcali do tego samego. Może to i dobrze. To ułatwiło mi ogromny skok w życiu, który cudem nastąpił wkrótce potem. To pozwoliło mi odwrócić się plecami do całego mojego dzieciństwa i nigdy nie obejrzeć się do tyłu. (Ten list jest wyjątkiem. Potraktuj to, że Ci odpisuję, jako wyraz dawnego przywiązania. Po za tym to imponujące, że potrafiłeś znaleźć mój obecny adres. Ale to na marginesie).

Ten duży skok w moim życiu nastąpił we wrześniu 1954 roku. Chodziłam na kurs hiszpańskiego; urządzono tam wieczorek i zaproszono gości z zewnątrz. Jakiś mężczyzna późnym wieczorem siada przy moim stoliku i próbuje rozmawiać ze mną po duńsku; to Argentyńczyk, wkrótce przechodzimy na hiszpański. Jorge jest w trakcie pakowania walizek po letnim semestrze na Akademii Rolniczej. Ja staję się jego towarzyszką na całe życie. Po prostu.

Wyznałam Ci szczerze, że Twój brat był moim pierwszym kochankiem w życiu. Jorge został drugim – i ostatnim. Przy nim stałam się taka, jaka zawsze byłam. Odnalazł we mnie tę kobietę, której nawet Twojemu bratu, mimo całej jego serdecznej, natrętnej, czasem wręcz agresywnej adoracji, nie udało się wydobyć i dlatego nawet nie domyślał się jej istnienia. I ja sama też nie. Tak wielka i naturalna była ta miłość. Jak ogień.

(Myślę po hiszpańsku. Myślę po hiszpańsku od czterdziestu lat. Ten list jest tłumaczeniem. Pamiętam jednak, że w języku mojego dzieciństwa jest się wstrzemięźliwym, jeśli chodzi o wielkie słowa).

Pewnego razu, tamtej jesieni, pokazałam Jorgemu zdjęcie Fridy. Patrzył na nie uważnie. Widział, jakie to dla mnie ważne, żeby się wypowiedział o tej osobie. Patrzył na Fridę długo. W końcu oznajmił: wygląda nieciekawie. To chciałam usłyszeć.

Nigdy nie powiedział nic więcej o Fridzie.



Tu, w Argentynie, mojej nowej ojczyźnie, przeszłam na katolicyzm, a rok później wzięliśmy ślub. Urodziło nam się trzech synów, jeden z nich zginął na wojnie, która u was nazywa się wojną falklandzką. Parę lat temu Jorge dostał wylewu krwi do mózgu i teraz opiekuję się nim jak dzieckiem, ale nasza miłość się nie zmieniła, jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Dane nam było przeżyć ze sobą ponad czterdzieści lat, teraz jest z nim gorzej, ale i ja nie będę przecież wieczna.

Ojciec i matka ostrzegli mnie oczywiście przed Jorgem. Przed gorącą krwią, która szybko stygnie, itepe. Na swój sposób poświęcili mi nieco uwagi! Jeszcze go wówczas nie widzieli i pragnęłam, żeby nigdy do tego nie doszło. Ale jednak doszło. Wspólne popołudnie w ogrodzie. Mój ojciec przygląda się Jorgemu, potem, przez kilka sekund, przygląda się mnie z nieukrywaną ciekawością. Czyż to możliwe, żeby coś przeoczył? Przez jedną osobliwą chwilę stoi między nami, obejmuje mnie ramieniem, potem Jorgego, przyciąga nas niepewnie do siebie. Nagle pojmuję, że mój ojciec stał się starym człowiekiem. Pochyliłam się w kierunku Jorgego, który jest młody. Nie pozwalam, żeby ten moment, kiedy tak stoję między dwoma mężczyznami, trwał zbyt długo. Uwalniam się od ojca.

Drogi Allanie, dziwne jest pisanie o tym wszystkim po tak długim czasie. Uparcie twierdzę, że nigdy nie oglądałam się do tyłu. To oczywiście kłamstwo. To niemożliwe – jak sam przecież widzisz z tego listu. Może gdzieś głęboko, w środku, wszystko pozostało nie zmienione? To samo poczucie utraty, ta sama wrażliwość? Nie wiem. Kiedy patrzę wstecz, przepełnia mnie jednak przede wszystkim szczęście, że koniec to koniec. Że było mi dane uwolnić się od cienia Fridy.

A może tylko prawie się uwolnić?

Nie będę czytała jeszcze raz tego, co napisałam, nim wyślę, ale czuję, że mój list każe Ci myśleć, jakobym ciągle jeszcze była w cieniu Fridy. I to nie jest zupełne kłamstwo. Ale żyję tutaj w słońcu i świetle, które goją rany. U was jest teraz jesień, u nas wkrótce lato. Siedzę w ciemnym pokoju wychodzącym na bulwar. Jorge śpi przed obiadem, za chwilę przyjdzie pielęgniarka, która pomoże mi do niego męża przygotować – spożywamy posiłek z zachowaniem wszelkich form, jakich się tutaj przestrzega. Dziś stół w jadalni jest rozstawiony i będzie nakryty na cztery osoby; nasi dwaj synowie przyjdą z wizytą. Kilka lat temu, kiedy razem chcieli „zaliczyć” Europę, mówili także o odwiedzeniu Danii, ale im odradziłam. Straszylam ich, jak mogłam, zimnym klimatem. I zimnymi ludźmi.

Moi rodzice zmarli wiele lat temu. Z matką prowadziłam grzecznościową korespondencję, ojciec nie odezwał się nigdy. W 1978 roku zmarła mama i ojciec przeniósł się do domu opieki. Mam nadzieję, że dobrze się nim zajmowano. Zmarł w roku 1988 i gdzieś tam w Danii przechowuje się to, co po rodzicach pozostało; przedmioty, listy, dzienniki. Każdego roku płacę skromną sumę, aby były, gdzie są.

Dziś po raz pierwszy otworzyłam drzwi altany na oścież, żeby móc siedzieć i słuchać odgłosów z bulwaru. W kawiarni naprzeciw ktoś usiadł i gra na bandoneonie, ale nie Twojego starego walca „Tennessee”; to tutejsza muzyka, tango. „A Media Luz”. Przed zmrokiem. Wkrótce zapadnie. Może przysiądę w tej kawiarni na chwilę po wysłaniu listu.

Czy odpowiedziałam na Twoje pytanie? Wyobrażam sobie, że Frida leży na dnie zimnego jeziora. Być może ktoś pchnął ją mocno w plecy? Niewykluczone. Myślę, że wiele osób miało ku temu motyw. Ja też. Ale wtedy jeszcze wcale o tym nie wiedziałam. Nie wiedziałam, jak głęboko nienawidzę jej cienia.

Żywej czy martwej.

A więc – śpieszę teraz, żeby wyjść z domu, prosto w gorący wieczór, żeby nadać do Ciebie list – nieprzeczytany po napisaniu, ale z serdecznymi pozdrowieniami

*Ulla*

### III

## Nocna rozmowa

*Drogi Allanie,*

Frida i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Już od przedszkola. Kiedy wołano jedną z nas, przychodziłyśmy obie. „Frida i Ida”. Może i byłam trochę zła na swoich rodziców, że dali mi takie nieciekawe imię. Oszukali mnie o te „f” i „r”, które nadałyby całemu imieniu dźwięk i melodię. A z drugiej strony, co by to dało, gdybyśmy nazywały się tak samo? W końcu musiał być jakiś sposób, żeby nas rozróżnić. Byłyśmy nierozłączne, od pierwszego dnia w przedszkolu aż po ten ostatni wieczór przed zaćmieniem w Szwecji.

Frida była najlepszą koleżanką, jaką można sobie wyobrazić. Miała tak niesłychany nadmiar wszystkiego – szczególnie miłości. Tak niesłychaną wiedzę o sobie i innych, o wszystkim, co w ogóle warto było wiedzieć. Zapożyczyłeś ze swojej astronomii wizję naszej małej grupki jako układu słonecznego. O tyle to prawda, że planety i ich księżyce byłyby przecież jeszcze zimniejsze niż są, gdyby nie zasiląo ich ciepło Słońca. Frida była najcieplejszym człowiekiem, jakiego dane mi było kiedykolwiek spotkać.

Zawsze szła z przodu, troszcząc się równocześnie o to, aby tych, którzy podążali za nią, nigdy nie stracić z pola widzenia. Była nieocenionym przewodnikiem po nieogarnionym świecie przedszkola, szkoły i dorosłych. Czego doświadczała ona, mieli doświadczyć i inni. Ciągle nawiązywała nowe przyjaźnie, ale nigdy za moimi plecami. Zawsze czułam, że jestem tą pierwszą.

Byłyśmy do siebie podobne. Inni pewnie nie potrafili tego zauważyć. Bardziej zwracali uwagę na to, jak szalenie jesteście różne. To podobieństwo było dodatkowym sekretem, który dzieliłyśmy. Coś bliźniaczego, coś, co przypominało prawdziwą telepatię. I co po prostu rozrastało się, im dłużej się znałyśmy. Nigdy nie krocząc na czele, na pewno robiłam wrażenie kogoś, kto wlecze się w ogniu. Nie byłam taka piękna jak ona. Ale, prawdę mówiąc, byłam – ktoś w końcu musi to powiedzieć – niemal równie utalentowana jak Frida.

Talent to oczywiście pojęcie bardzo szerokie. Istnieją różne talenty, jakich ambitni rodzice w latach pięćdziesiątych pragnęli dla swoich dzieci (a dziś, bez wątpienia, rodzice są jeszcze bardziej ambitni, jeśli chodzi o potomstwo). Ale istnieje także ten nikomu niepotrzebny talent, który daje tak dużo zadowolenia, choć nie jest poparty żadnym papierkiem. Mój talent polegał między innymi na tym, że – jeśli to było konieczne – przejawiał się w bezsłownej symbiozie z talentem Fridy. Wymiana myśli i uczuć rozkwitała daleko poza granicami normalnego języka.

Jeśli chodzi o zdolności przydatne w szkole, pozwalały mi one stać zaledwie o niewielki stopień niżej od Fridy. Byłam eleganckim numerem dwa. Dla czystej rozrywki wpadało nam do głowy pisać nawzajem swoje wypracowania, tak że ja dostawałam piątkę Fridy, a ona moją. To nie była konkurencja, to była zabawa. Ona wybrała języki, ja matematykę, chodziłyśmy każda do swojej klasy, ale do tego samego gimnazjum, i spotykałyśmy się na każdej przerwie. Wieczorem dzieliłyśmy się tym, czego się nauczyłyśmy. Chyba prześcignęła mnie w językach; ja jej w matematyce nigdy. Była zupełnie wyjątkowa.

Prześcigała mnie w miłości, w zakochaniach i podbojach, ale kogo Frida w tym nie prześciga? Podniecenie i rozkosz zdobywania – w to mnie wtajemniczała, i to o wiele głębiej niż było to wtedy w zwyczaju między przyjaciółkami. Nie miałam wiele do zaoferowania. Pieczołowicie dbała o to, żebym nigdy nie odczuła tej nierówności jako poniżającej.

Nie było jednego dnia od zaginięcia Fridy, żebym nie myślała o niej z przyjemnością. Jej przyjaźń była darem, który przerastał jej życie. Nic lepszego nie zdarzyło się w moim.

Tak, Allanie, na tym mogłabym zakończyć.

Ale chyba nie opisałam Ci wszystkiego. Dobrego humoru Fridy ani też złego, bo nie była nadczłowiekiem. Jej gama nastrojów wydawała się duża, ale Frida nigdy nie była skwaszona. I nigdy zamknięta w sobie czy nieprzystępna, wiedziało się o niej wszystko – a w każdym bądź razie ja wiedziałam. Nie opisałam jej zachwytu światem i gniewu na świat. A zwłaszcza jej niezadowolenia z siebie samej, kiedy czuła, że nie stanęła na wysokości zadania. Dużych wahań emocjonalnych – ale nigdy zwyczajnej obojętności. I przede wszystkim niezwyklej lojalności Fridy – bo potrafiła trzymać język za zębami, choć to było wbrew jej naturze. Umiłowanie prawdy graniczyło u niej... można by powiedzieć, z brutalną szczerością. Z pewnością było wielu ludzi, których mogła rozgniewać. Ale nie mnie. Na tym mogłabym więc zakończyć, prawdę mówiąc, wyłączyłam już komputer, ale znów włączyłam i zerkam na swoją nieporadną próbę opisaną Fridy. Oczekujesz przecież, że rzucę nowe światło na nasz pobyt w Smålandzie, a to zrobić da się tylko wówczas, jeśli opowiem Ci o mojej rozmowie z Fridą w wieczór przed zaćmieniem.

Piszesz, że leżałeś przed domem w namiocie, który ze sobą przywiozłeś. Z latarką kieszonkową i pommakiem. I że ktoś jeszcze nie spał i siedział w tę jasną noc przy stole w ogrodzie. Na stole stał gramofon i kiedy wspomniałeś, że puszczano w kółko walca „Tennessee”, uprzytomniłam sobie, że to na pewno my, Frida i ja, siedziałyśmy tam i rozmawiałyśmy, kiedy inni poszli spać.

Zrelacjonuję tę rozmowę, bo unaoczni Ci ona wszystko, co było najlepszego i najsubtelniejszego w przyjaćności mojego życia.

Rozmawialiśmy o mężczyznach z naszego towarzystwa. Wydaje mi się, że co najmniej dwóch z tych, którzy przyjechali z nami do Szwecji, było zakochanych we Fridzie, że żyła z nimi obydwoma i że obaj (z całą pewnością) dowiedzieli się od niej o tym. Frida dawała dużo, ale nigdy nie były to iluzje. Nie pamiętam już tych mężczyzn, ale jeśli masz adresy nas wszystkich, to pewnie i adresy tych dwóch. Czy jeden z nich nie był młodym poetą? Choćbym się najbardziej starała, nie mogę ich sobie przypomnieć, nawet twarzy. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Ale to o nich rozmawialiśmy.

A więc Frida opowiada, ja słucham. Nie mogę, niestety, podzielić się z nią żadnymi przeżyciami. Frida mówi – oczywiście nie przytoczę tego dosłownie – że ci dwaj mężczyźni są przemili i interesujący, ale żaden z nich już dłużej się nie liczy. (Może dlatego ich zapomniałam?) Istnieje jednak ktoś trzeci. I to już jest sprawa na serio, zapewnia. Teraz naprawdę spotkała miłość. Tę jedyną. Ten, a nie inny. Wcześniej nigdy tego nie mówiła.

Nie sądzę, żeby chodziło o kogoś, kto był z nami w Smålandzie. Nie o żadną, jak to nazywasz, planetę układu słonecznego. A więc o niezapowiedzianą kometę? Nie sądzę, żeby wymieniła nazwisko. Po prostu opowiedziała o tym człowieku.

– Ale ty pewnie wcale nie chcesz tego słuchać – rzuciła naraz. – Ty przecież zawsze byłaś zadowolona, że ich jest wielu.

Wyraziła się w ten sposób, bo to było ważne; ta prawda okazała się nagle bardzo istotna dla niej i dla mnie; nie mogliśmy z nią dłużej czekać.

– Ty jesteś zakochana we mnie – powiedziała.

Milczałam.



– Nigdy nie musiałyśmy o tym rozmawiać – ciągnęła. – Ale ja nie jestem zakochana w tobie. Nigdy przedtem nie byłam w nikim na prawdę zakochana, dopiero teraz.

Po co w ogóle poruszać ten temat? – myślałam. I milczałam.

– Nie sędzę, żebym się kiedyś zakochała w dziewczynie – oświadczyła Frida. – Choć kto wie? – Pochyliła się i objęła mnie ramieniem. – Ale jeśli masz ochotę iść ze mną do łóżka – dodała – to proszę bardzo. Musisz tylko wiedzieć, że to będzie jak z koleżanką.

Z gramofonu wciąż płynął stary walc „Tennessee”. To prawie najkrótsza noc w roku, nie zrobiło się wcale ciemno, tylko szaro, z poświatą wzdłuż linii horyzontu, za lasem brzoźowym na północy. Rosa opadła i sprawiła, że noc pachniała ziołowo i ostro. A Ty leżałeś w swoim namiocie z pommakiem i latarką, musiałeś marznąć, jeśli Twój śpiwór nie był dobrze ocieplony; nie usłyszałybyś nas nawet, gdy byś nie spał, bo mówiłyśmy cicho. *Speak low, when you speak love...*

Musisz pamiętać, że miłość między dziewczynami w ogóle nie była czymś, o czym można by mówić tego odległego lata. To może coś, o czym można było przeczytać w książce, coś możliwego jedynie teoretycznie, chronionego obwolutą, ale żeby miało cokolwiek wspólnego z naszym życiem?...

Oczywiście, że kochałam Fridę. Oczywiście, że chciałam ją mieć na własność. Ale najchętniej w bezpieczny sposób: niechby kręciło się wokół niej wielu, ja zaś pozostałabym tą jedną jedyną na stałe. O czymś więcej nie śmiałam nawet marzyć. O żadnym kontakcie fizycznym.

– Więc jeśli masz ochotę, to ja też – powiedziała Frida. – Warto spróbować, co, u diabła, mogą ze sobą robić dwie dziewczyny, i czy to jest równie fajne jak z chłopakami. Musisz tylko zdawać sobie sprawę z tego, że to może mieć wpływ na naszą... – szukała chwilę słowa – na naszą idealną przyjaźń.

Co ja na to? Speszona odpowiedziałam, że nie, że dziękuję, ale nie, że źle mnie zrozumiała, że ja wcale nie jestem taka. Ona odsunęła ramię. Nie byłam szczerą. Ale stawka wydała mi się za wysoka. Po raz pierwszy w życiu nie byłam wobec Fridy szczerą.

Ona podniosła się, odeszła kawałek, ale odwróciła się i znów podeszła, pocałowała mnie, szybko, ale tak naprawdę. I poszła sobie. Przeszła przez drzwi, które pozostawiła uchylone.

I więcej już jej – tak mi się wydaje – nigdy nie zobaczyłam.

Ledwie pamiętam zaćmienie. Może doznałam szoku. Po czterdziestu dwóch latach nie trzeba się chyba usprawiedliwiać, że w ciągu doby przeżyło się coś, co przypomina blackout. Myślę jednak, że zachowałam w pamięci obraz, który nie jest żadną fantazją: jacyś mężczyźni przeciągają sieci po jednym z tych małych jezior, które są rozrzucone wokół Torsryd. Ja stoję biernie, patrzę na tych fachowo pracujących mężczyzn i mówię sama do siebie: jeśli się chowasz, Frida, to nie znajdą cię nigdy. Bo myślę, że jesteś gdzie indziej. Myślę, że u tego, którego nazwisko nigdy nie padło z twoich ust.

Tak sądziłam przez bardzo długi czas. Ale rozpacz nie była z tego powodu mniejsza. Chełpliwie wyobrażałam sobie, że jestem jedyną osobą, która naprawdę rozpacza z powodu utraty Fridy.

A później? No cóż, mieliście rację, chyba rzeczywiście musiała być na dnie jeziora. I życie toczyło się dalej, lato dobiegło końca, odwiedziłam parę razy rodziców Fridy, a potem byłam zajęta studiami.

Na miłość ani nie było czasu, ani też jej nie potrzebowałam. W wiele lat później spotkałam mężczyznę, fizyka jak i ja, i natychmiast się pobraliśmy. Jego ciekawość i pasja przywodziły mi na myśl Fridę. Opowiedziałam mu prawie wszystko. Kiwał głową, jakby rozumiał. Nasze małżeństwo nie było nieszczęśliwe, ale i nie było szczęśliwe. Na szczęście nie mieliśmy dzieci. Po paru latach rozeszliśmy się jak przyjaciele. Czekały nas oboje duże kariery.

I tak żyłam długi jeszcze czas w następnym dziesięcioleciu. Sama i zapracowana. Pogodnie aseksualna, szczęśliwie wolna od miłości. I dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych wyszłam z ukrycia. Przestałam mylnie sądzić, między innymi dzięki przebywaniu w kobiecym kolektywie, że moja miłość do Fridy nie miała nic wspólnego z miłością fizyczną.

Spotkałam dziewczynę, której przeszłość trochę przypominała moją. Opowiedziałyśmy sobie nawzajem swoje historie. Byłyśmy przyjaciółkami. Nieprawdopodobnie długo nie mogłyśmy się zdecydować na kontakt fizyczny, na pocałunek. Mój pierwszy pocałunek z inną kobietą od czasu nocy przed zaćmieniem. Ta kobieta w niczym nie przypominała Fridy. Ja zapewne też nie byłam dokładnie tą, o której marzyła. Nie zaczęłyśmy wspólnego życia, ale każda z nas usiłowała przynajmniej odszukać samą siebie.

Z następną, którą spotkałam, żyję do dziś. Usankcjonowałyśmy oficjalnie nasz związek. Myślę, że będziemy razem do końca życia. Jej opowiedziałam wszystko, co było do opowiedzenia, ale trudno mi przedstawić Fridę za życia. Widzę, że moja obecna przyjaciółka wątpi w taką absolutną doskonałość. Może to zresztą nie takie ważne, żeby mi wierzyła. Ona też знаła kogoś, kogo jej trudno opisać.

Dzisiaj wiem, że moja miłość do Fridy była także cielesna. Ale przede wszystkim stanowiła odkrycie, że dwoje ludzi może być sobie tak bezgranicznie bliskimi, tak bezgranicznie otworzyć się przed sobą. I żeby tak było, wcale nie muszą być różnej płci!

To tyle, jeśli chodzi o mnie. Jeśli chodzi o Fridę, to uważam, że pozostawiła otwarte drzwi. Mogła odejść do mężczyzny, którego, jak opowiadała, znalazła. Może stał się jej przeznaczeniem? Mogła odwrócić się plecami do wszystkiego, co było w jej życiu przedtem. To by do niej pasowało. Chociaż, nie bardzo w to wierzę. Ale to też jakaś możliwość.

I to już chyba wszystko. Tylko jeszcze serdeczne pozdrowienia i życzenia pomyślności w związku z Twoją inicjatywą

*od Idy*

## IV

### Bruzda na powierzchni wody

*Drogi Allanie,*

Być może ja potrafię rzucić światło na zagadkę Fridy Lander. Frida i ja zaczęliśmy studiować medycynę na Uniwersytecie Kopenhaskim w tym samym, 1951 roku, ale tak na serio zwróciłem na nią po raz pierwszy uwagę pewnego zimowego dnia, w styczniu czy lutym roku 1953, na jeziorze Peblinge. Siedziałem właśnie na brzegu i przykręcałem łyżwy do butów, kiedy spostrzegłem na lodzie parę, która wyjątkowo ładnie jeździła. Dopiero kiedy się do niej zbliżyłem, robiąc ostrożne podchody, bo sam nie byłem równie wprawnym łyżwiarzem – uprzytomniłem sobie, że on musi być dwa razy starszy od niej. Ojciec i córka, ale tak zgrabnie fruwali nad taflą lodu, jakby byli dla siebie stworzeni. Ojciec obejmował ramieniem talię córki i wspólnie wykonywali coś w rodzaju tańca, rozbryzgując ostrzami łyżew drobiny kruchego na powierzchni lodu. To był chyba *cake walk*. Frida i jej ojciec. Czy przypominasz sobie, jak przystojnym i pewnym siebie mężczyzną był ordynator Holger Lander? Wysokim, wysportowanym. O szczupłej, pełnej charakteru twarzy i niesłychanie przenikliwych oczach. Eleganckim i zadbanym. O pięknych, dużych dłoniach chirurga.

W owym czasie był dość znaną osobistością, i to nie tylko jako słynny i podziwiany ordynator. Także jako weteran radziecko-fińskiej wojny zimowej i ruchu oporu. W 1953 roku powrócił właśnie do domu po rocznym pobycie na statku-szpitalu „Jutlandia”, gdzie jego umiejętność łątania pokiereszowanych żołnierzy stała się prawdziwą legendą. Był też znanym publicystą i mówcą, stojącym na czele, o ile pamiętam, Demokratisk Alliance, której działalność związała się z niezłomną wolą obrony kraju. Nigdy więcej dziewiątego kwietnia.<sup>4</sup>

Jakimś sposobem zawarłem tego popołudnia, na jeziorze Peblinge, bliższą znajomość z ojcem i córką. Zaprosili mnie na grog do knajpki na Åboulevarden i w końcu wylądowałem na obiedzie w ich domu przy Sundvaenget. Wkrótce zaczęliśmy się razem uczyć – Frida i ja. Mogłem się w niej zadurzyć, jak wielu innych mężczyzn, ale z dwóch powodów udało mi się nie wpaść w pułapkę. Po pierwsze miałem już dziewczynę, która studiowała w Arhus; później została moją żoną i jest nią po dziś dzień. Po drugie, przeczuwałem, że zbliżając się zanadto do Fridy, można się sparzyć. A ja nie byłem bynajmniej poszukiwaczem przygód. Po prostu zaprzyjaźniliśmy się i żadna nieokiełznana miłość nie miała prawa tego zniszczyć.

---

4 9 kwietnia 1940 rozpoczęła się okupacja Danii (przyp. tłum.)

To, do czego tak ostrożnie próbuję się zbliżyć, nazwałbym psychologicznym, czy może raczej psychiatrycznym profilem Fridy Lander. Myślisz pewnie, sądząc po nagłówku mojego listu, że jestem restauratorem. To tylko częściowo prawda. Mam udziały w „Le Bon Médecin”. Ale na chleb zarabiam jako psychiatra, ordynator w Rigshospitalet. Nie lubię modnego słowa „profil”, a już zupełnie nie podoba mi się gotowość niektórych, zorientowanych na media, psychiatrów do stawiania diagnoz z perspektywy lat, jak to się dzieje na przykład w przypadku Hitlera, Stalina czy Marilyn Monroe. Spróbuję jednak postawić diagnozę, zrobić „profil” po czterdziestu dwóch latach. W końcu przez dwa lata byłem z nią dość blisko.

Nazywasz Fridę w swoim liście gwiazdą w układzie słonecznym, jesteś nią oczarowany i stawiasz ją na piedestale, na którym, szczerze mówiąc, nie ma za dużej swobody ruchu. Pewnie, że była mądra i piękna, ale tak silna, jak to sobie wyobrażasz – raczej nie. Wspominasz, że tamtego lata leżałeś późną nocą w namiocie przed domem i słyszałeś beznadziejnie sentymentalnego walca „Tennessee” o wielkiej, niepowtarzalnej miłości, która odeszła, itepe. Pozwól, że Ci odpowiem piosenką, choć jest już z następnego dziesięciolecia:

She makes love just like a woman  
And she ache's just like a woman  
But she breaks just like a little girl.

Jak dziewczyna u Boba Dylana, tak i Frida kryła w sobie bezwątpienia małą dziewczynkę. Na swój sposób była silna. Ale w rzeczywistości była też dość krucha. Sam tego doświadczyłem. Doświadczyłem czegoś co ukrywano przed większością ludzi.

Bywając na Sundvaenget, zauważało się przede wszystkim idealne i niemal erotyczne zgranie Fridy z ojcem. A dopiero potem młodszą siostrę, Ullę. Była naprawdę ładną i miłą dziewczyną i gdyby nie Frida (i moja Marianne w Arhus), na pewno wpadłoby mi na myśl trochę się do niej pozalecać.

Kiedy Ulla poznała Twojego starszego brata, czarującego pijaczka, wydobyla się powoli z cienia siostry. Zdaje się, że oni oboje odczuwali potrzebę znalezienia w kimś oparcia. Pamiętam jednak Ullę przynajmniej raz mówiącą, że Torsten tylko po to przychodzi do ich domu, żeby być w pobliżu Fridy. Kto wie, może miała rację?

Może Frida dawała Twojemu bratu do zrozumienia, że jego dyskretne, zawoalowane zaloty nie są tak zupełnie niezauważane czy odrzucane? To, wydaje mi się, pamiętam.

(Z żalem dowiaduję się o śmierci Twojego brata. Ostatnim razem natknąłem się na niego gdzieś w latach siedemdziesiątych. To było bardzo serdeczne i szczere spotkanie. Ucieszyłem się tym bardziej, że widać udało mu się zwalczyć swoje okropne uzależnienie od alkoholu. Teraz wspominam go zdecydowanie miło).



Ale wracając do Sundvaenget, opowiem Ci o paru epizodach z lat 1953-1954, które, jak myślę, mogłyby wskazywać na przyczynę zniknięcia Fridy. Pewnego wieczoru, kiedy uczyliśmy się u niej w pokoju, przyszedł do nas jej ojciec. Piliśmy razem herbatę i zajadaliśmy grzanki z boską marmoladą jabłkową pani Lander, z owoców z drzewa w ogrodzie (dla jej talentów kulinarnych rodzina nie miała większego poważania). Jakże w tym domu ładnie pachniało! Herbatą Earl Grey, grzankami, tytoniem Virginia, dobrze wypastowanymi podłogami, a późnym latem także dojrziałymi jabłkami, leżącymi w misach rozstawionych po całym domu. Jak dobrze było tam przychodzić. I jak to było dawno temu!

A teraz o Landerze. Przyszedł do nas z pewnego rodzaju propozycją. Czy nie mielibyśmy ochoty, zapytał, obejrzeć na własne oczy operacji, którą ma przeprowadzić nazajutrz? Wiesz, jednego z tych rzeczywiście popisowych numerów, do których studenci normalnie w ogóle nie mają dostępu. Operacji na klatce piersiowej, z obniżeniem temperatury ciała, płucosercem i wszystkim, co było najnowocześniejsze w latach pięćdziesiątych. Oczywiście, że o niczym bardziej nie marzyliśmy.

Frida i ja byliśmy świadkami wielu operacji i nigdy żadne z nas nie próbowało się od nich wykręcać. Już nie pamiętam, jakiego Lander użył pretekstu, żeby nas, dwójkę żółtodziobów, przemycić na salę. Ale jeśli to wyszło od niego, nie było żadnej dyskusji. Pod nóż miało pójść dziecko z siniczą wadą serca, miano zamknąć przewód tętniczy (*ductus arteriosus*), biegnący między tętnicą główną ciała i tętnicą płucną.

A nie była to łatwa sprawa. Trzeba było przeciąć parę żeber, żeby się dostać do serca, i potem te żebra rozciągnąć żeby nie przeszkadzały chirurgom. Brutalna operacja, a i sekundy podczas jej trwania były w latach pięćdziesiątych dużo cenniejsze niż dzisiaj.

Przeprowadzono ją niczym operację wojskową którą dowodził prawdziwy generał. Kiedy Lander podnosił głos, to zawsze ktoś miał powód, żeby spuścić głowę. Widzę go przed sobą na sali operacyjnej, otoczonego wyłącznie kobietami, a przecież tak być nie mogło, choć kobiety odgrywały niemalą rolę w życiu tego mężczyzny.

Jestem pewien, że nie całkiem zawodzi mnie pamięć, gdy przypominam sobie erotyczną fascynację wszystkich kobiet w szpitalu tym sławnym człowiekiem, którego bały się równocześnie jak ognia.

Miał w sobie rzeczywiście pewną brutalność, niezbędną do zapewnienia spokoju. Pacjenta, który szedł na operację, potrafił uwolnić od strachu przed śmiercią, po prostu kładąc mu rękę na ramieniu albo na kolanie. Narkoza była już nieomal zbyt duża.

Ale biada lekarzowi lub pielęgniarce, którzy w ogniu walki tracili pełną koncentrację czy choćby dawali upust swoim emocjom. Czekająca ich potem nieprzyjemna rozmowa.

Wydaje mi się, że podczas tej operacji zaistniała sytuacja krytyczna, ale udało się ją zażegnać. Pamiętam ją jako coś najokropniejszego, co dotąd przeżyłem. Ni mniej, ni więcej. Nogi miałem jak z waty. I nie z powodu widoku krwi; z powodu terroru psychicznego, który widocznie był konieczny, by przetrwać ten kryzys.

Czułem się potem zupełnie wyczerpany, ale szybko zauważyłem, że Frida jeszcze bardziej. Unikała ojca. Pamiętam, że kiedy się wymykaliśmy, obrzucił nas, dwójkę przemyconych studentów, zdziwionym spojrzeniem.

Ten wieczór spędziliśmy u mnie w akademiku, ale nie na nauce. Widziałem, jak Frida pod cieniutką warstewką samokontroli skurczyła się wewnątrz do rozmiarów małej, wystraszonej dziewczynki. I chyba to nie operacja tak ją przeraziła, lecz ojciec – odkrycie, że jednak nie może iść za nim do końca. (Ale to już moja dzisiejsza racjonalizacja).

Nie ma reguły bez wyjątku. Tej nocy poszliśmy razem do łóżka. I Bóg świadkiem, że było mi z Fridą wspaniale, ale nie szukała we mnie dobrego kochanka, lecz tylko opiekuna.

Opierając się na wiedzy, którą dziś posiadam, mogę z dość dużą pewnością stwierdzić, że Frida wczesnym latem 1953 roku popadła w depresję. W którymś momencie nasze drogi rozeszły się, bo miała rzekomo odwiedzić kogoś z rodziny na Samsø. W kilka dni później mignęła mi na terenie Rigshospitalet, w starej jego części z ładnymi pawilonami malowanymi ochrą. Szła w ubraniu dla pacjentów z oddziału psychiatrii. Nasze oczy spotkały się, ale szybko odwróciła wzrok i minęliśmy się bez słowa. (Wstydlivość naszego pokolenia zaiste nie miała granic).

Potem wróciła z „Samsø” i do tego stopnia znów przypominała dawną siebie, że wmawiałem sobie, iż tylko ja wiem, co Frida ukrywa przed światem. Nawiasem mówiąc, to właśnie tego lata postanowiłem zostać psychiatrą.

W grudniu 1953 roku umówiliśmy się, że pójdziemy razem na gwiazdkowe zakupy. Kiedy prawie całą sumę przeznaczoną na upominki Frida wydała na drobne prezenty dla siebie, usiedliśmy, jak pamiętam, w winiarni, żeby wypić po szklaneczce grogu.

Słuchaj, powiedziała ze śmiechem, w którym nie było radości, ja chyba, do cholery, zachowałam się jak kompletna maniaczka! Nie wróciłbyś ze mną do sklepów, żeby to wszystko pooddawać?

Poszliśmy. Ale pamiętam, że Ulla opowiadała mi później, iż coś nie wyszło z prezentami Fridy w czasie tamtego Bożego Narodzenia. Zdaje mi się, że była to historia o tym, jak ktoś je wszystkie rąbnął w wieczór przedwigilijny na stacji Nerreport.

Nauczyłem się uważnie rejestrować, kiedy Frida jest „w dołku”. W tygodniu wielkanocnym w 1954 roku była „na Bornholmie”, jak się to nazywało tym razem. Tak szybko nie można przecież nikogo z niczego wyleczyć. Niemniej jednak wróciła w świetnym humorze.

A następnym razem „dołek” zdarzył się jej, jak sądzę, dwudziestego dziewiątego czerwca w Szwecji.

Tamtego popołudnia, po przyjeździe, zeszliśmy nad koliste jezioro Fricksjø i usiedliśmy na brzegu. Myślę, że jest dokładnie tak samo głębokie, jak okrągłe, powiedziała Frida. Jakiś pogański bóg musiał tu rzucić kulę, ciągnęła, kiedy ziemia jeszcze płonęła. Thor albo Freja. I kula pomknęła dalej po stworzeniu tego doskonałego kształtu. Czy nie sądzisz, że to zdecydowanie najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie?

Na powierzchni jeziora ukazała się bruzda, więc oboje spojrzeliśmy w niebo i zobaczyliśmy nadciągające chmury, które mogły przeszkodzić w obserwacji zaćmienia słońca.

Ależ się zrobiło szaro, powiedziała Frida.

To jej ostatnie słowa, które pamiętam.

Ale być może coś wyparłem ze świadomości.

A co się stało z Fridą nazajutrz? Nie mam pojęcia! Zacząłem swój list od stwierdzenia, że być może ja będę w stanie rzucić światło na tę zagadkę. Powinienem chyba podkreślić „być może”. Jest jednak faktem, że Frida co najmniej raz, a najprawdopodobniej dwa, przebywała na oddziale psychiatrycznym w Rigshospitalet. Uważam, że osobiście widziałem ją zarówno w stanie utajonej depresji, jak i prawdopodobnie w stanie maniakalnego podniecenia. Nie były one silne, nie wymykały się spod kontroli, niemniej jednak zdarzały się. To diagnoza postawiona z perspektywy lat i zarazem wszystko, co mam do powiedzenia.

Więc może to bardzo proste: odeszła, żeby odebrać sobie życie?

Była piękna, intrygująca i ciekawa, była gwiazdą w układzie słonecznym i wszystkim, co w niej widziałeś ze swojego punktu obserwacyjnego w namiocie. Ale była też, u diabła, miłą i wcale nie taką dziwną dziewczyną, którą ktoś najzwyczajniej w świecie powinien się serdecznie zająć, póki jeszcze był na to czas. A jeśli już mówimy o winie, to oczywiście, często myślałem, co by to było, gdybym wam opowiedział o tym spotkaniu z Fridą jako pacjentką w Rigshospitalet.

Czy potrafilibyśmy wspólnie rozpiąć nad nią siatkę ochronną, zamiast, każde z osobna, pozwolić, żeby tak nam imponowała, zamiast dać się zastraszać i mistyfikować?

Ale dość o tym, czego zmienić się nie da. Moje własne życie było i nadal jest dobre. Udana kariera łatacza dusz, długie i dobre współżycie ze wspaniałą normalną żoną. Dzieci i wnuki. Za dwa lata, po przejściu na emeryturę, poświęcę jeszcze więcej czasu „Le Bon Médecin”. Moje wnuki nazywają mnie starym obzartuchem, ale pacjentom nie przeszkadza, że jestem trochę przy kości. Nigdy nie próbowałem nikogo kurować za pomocą terroru wojskowego.

Jeśli tylko możesz oderwać się od swojego obserwatorium, to przyjedź kiedyś do naszej restauracji. Zapowiedz się przedtem, to powspominamy dawne czasy przy dobrym obiedzie.

Życzliwy Ci Claus Jacobi.

## Sylwetka w półmroku

*Drogi Allanie,*

Dziękuję Ci za list. Zastanawiasz się (w swoim odręcznym dopisku), czy aby ten „dziwaczny” adres jest prawidłowy. Jest. Ale o tym później.

Nie mylisz się, że tego lata z zaćmieniem słońca ødegard i samochód były Barbary”. Pewnie, że tak. A ściślej mówiąc, moich rodziców. Pomyśleć, że pamiętasz tego rovera w gołębim kolorze i z kremowym dachem! Z polerowanym orzechowym drewnem i trzeszczącymi siedzeniami ze skóry; zimą były lodowate, a latem nagrzane i lepkie, ale zawsze elegancko pachniały. To był właśnie, jak go nazywał ojciec, ten „samochód numer trzy” – bo przecież nasza mała rodzina nie liczyła więcej członków. Kiedy w 1952 roku zrobiłam prawo jazdy, stał się praktycznie mój.

Byliśmy rzeczywiście nieprzytomnie bogaci. Tata miał w zwyczaju mówić bez ogródek, że jesteśmy dziewiątą najbogatszą rodziną w Danii! Każdy grosz zarobiony był na konserwach i winie owocowym. A że jednym z talentów ojca była umiejętność wykorzystywania sprzyjającej sytuacji, więc w 1954 roku akcje upłynnione zostały jakimś biedakom, którzy stracili na nich wszystko, co posiadali. Zarobione pieniądze zainwestowano w ziemię. Między innymi w coś, co nazywano Albertslund (ludzie ciągle jeszcze wtedy mówili Vridsløse). Nasze bogactwo przekraczało wszelkie granice.

Kiedyś, w latach pięćdziesiątych, grano w Kopenhadze sztukę, pod tytułem „Córka króla Midasa”. Już nie pamiętam, czy ją widziałam. Ale pamiętam ten tytuł. Ja byłam córką króla Midasa. Bo czegokolwiek król Midas dotknął, zamieniało się, jak wiadomo, w złoto. Może to i bardzo przyjemna rzecz. Tyle że musiał uważać, by nie dotykać ludzi.

Mnie bogactwo dotknęło. Hermetycznie zamknęło. Tak mnie ozłociło, że czułam, jak od niego umieram; tego lata wyobrażałam sobie, że tli się we mnie tylko iskierka życia, i to tak głęboko, że ledwie mogłam do niej dotrzeć. Krótko mówiąc, litowałam się nad sobą okropnie. Ale miałam również realne problemy.

Jak wszyscy (?) bogaci ludzie, tak i mój ojciec, czy raczej moi rodzice uważali, że to, czego się nie ma, można po prostu kupić. Również to, czego brakuje ich córce. Nie miałam żadnych przyjaciół – no to dostałam chałupę i samochód. I rzeczywiście, ni stąd, ni zowąd, znalazła się grupka rówieśników, która z zapalem zgodziła się przez trzy czy cztery doby dotrzymać mi towarzystwa.



Naturalnie, zdaję sobie sprawę z tego, że zaczynam z perspektywy czasu „reżyserować” swoje dzieciństwo i młodość. Chyba nie byłam aż tak osamotniona. A jeśli nawet, to chyba nie była to tylko i wyłącznie wina moich rodziców i ich przeklętych pieniędzy. Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Człowiek jest całkowicie odpowiedzialny za swoje życie. Dzisiaj to wiem.

Ale pieniądze stanowiły rzeczywiście problem. Moim rówieśnikom musiało być chyba trudno okazywać mi przyjaźń, nie wspomnę już o miłości, nie wzbudzając podejrzeń, że opłaca się mnie znać już choćby dla tych luksusów, na które mogłam sobie pozwolić. Może wam wszystkim z tych dawnych lat robię krzywdę. Jedno jest pewne: byłam tak nieszczęśliwa i samotna, jak tylko można sobie wyobrazić. Ale czytaj dalej, bo mój list kończy się optymistycznie!

Nawiasem mówiąc, Allanie, pamiętam Cię jako sympatycznego chłopca. Kompletnie mnie nie interesował kosmos i to nadchodzące zaćmienie, dopóki nie usiedliśmy razem i nie zaczęłaś opowiadać. Tobie chyba moje bogactwo, dom i dwukolorowy rover były zupełnie obojętne. Czyż nie tak? Miałeś przecież zamiar pojechać do Fricksbo na rowerze i po przyjeździe rozbić tam namiot (i rzeczywiście to zrobiłeś). Udzielił mi się Twój entuzjizm dla zaćmienia – na tyle, że pomyślałam z zazdrością: któż by nie chciał mieć takiej pasji jak Allan i znaleźć coś, czemu warto by poświęcić całe życie! A jeśli już nie gdzie indziej, to choćby i w tych zimnych przestworzach.

Co do Twoich przyjaciół, to cieszyli się z okazji, żeby skorzystać z samochodu i dachu nad głową!

Znałam tylko Ciebie i Twojego brata, Torstena – nielicznego nicponia, który raz czy dwa, na dobrym rauszu, wygarnął mi bez żenady kilka stów prawdy o pieniądzach, duńskim winie owocowym i podziale klasowym. A że szczerości nie nadużywano w moich młodych latach, to wcale nie oczekiwałam przeprosin, kiedy pojawiał się następnego dnia – z pamięcią dziurawą jak sito i poobijany wyrzutami sumienia. Nigdy nic od niego nie dostałam prócz psychicznego lania! Ale czy kiedykolwiek powiedziałam Torstenowi, że wszystko to zostało mu wybaczone i że podzielałam w zasadzie jego pełne agresji zaangażowanie, choć nie doprowadziło mnie ono ani do Karola Marksa, ani do Hansa Hedtofta?

Bardzo ciepło wspominam jeszcze jednego gościa, który był tego lata w „mojej” chałupie. Tę chłodną, otoczoną rojem wielbicieli i okropnie niezrównoważoną Fridę Lander. Ona miała wszystko, czego brakowało mnie: miłość (a w każdym razie masę przygód erotycznych), serdeczne przyjaźnie i bezgraniczne zainteresowanie swoją osobą. Kiedy tego popołudnia, dwudziestego dziewiątego czerwca 1954 roku, przyjechaliśmy do Fricksbo, pomogła mi we wszystkich praktycznych sprawach. Bo po długiej zimie, trzeba było Fricksbo „uruchomić”. Naładować prowiant do spiżarki, podłączyć gaz, nastawić i nakręcić duży zegar. Chłopakom – także dziewczynom – było to najwyraźniej obojętne, ale Frida była miła i pomagała.

Jednak dopiero późno w nocy – tej nocy przed zaćmieniem – nawiązałam z nią bliższy kontakt. Leżałam w swoim pokoju w śpiworze i słyszałam, jak moi goście, jeden po drugim, szykują się do spania. Na polanie przed domem zostały w końcu chyba tylko dwie osoby. Dwójka, która z jakiegoś powodu ciągle puszczała walca „Tennessee” na gramofonie.

I na dworze, w swoim namiocie, byłeś również Ty; jak się okazuje, z kieszonkową latarką i pommakiem, ale tego już nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że w którymś momencie do domu weszła Frida i że hałasowała. Wybita ze snu, siedziałam w kuchni, kiedy pojawiła się w drzwiach z kubkiem i szczoteczką do zębów.

Jakżebym chciała dokładniej pamiętać, o czym rozmawiałyśmy! Pamiętam tylko – bardzo u mnie rzadkie – uczucie wspólnoty. Czyż by i ona była nieosiągalną córką jakiegoś tatusia? I też jakby czymś powleczoną? Może nie złotem, ale w każdym razie jakąś warstwą izolacyjną?

Wolnością? Czy bezgraniczna wolność – albo, jak ktoś w tym czasie to nazwał – dyktatura chaosu, jest klątką równie ciasną jak pieniądze? Może emanujący z Fridy silny erotyzm sprawiał, że tak naprawdę była równie samotna, jak ja w swojej pozłocie? A może po prostu coś sobie uroiłam i w jej los wplotłam swój własny? Wydaje mi się, że w czasie tej krótkiej rozmowy Frida powiedziała, iż powinno się...

Może zresztą są to słowa, które przypisuję tej rozmowie po wielu latach, ale chyba jednak brzmiały one: – powinno się „wziąć swoje łożo i iść”.<sup>5</sup>

I może właśnie tak zrobiła?

---

5 „Wziąć swoje łożo i iść” – cytata z „Uzdrowienia paralityka”. Ewangelia według św. Mateusza. „Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu”, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980 (przyp. tłum.)

Zaćmienie słońca pamiętam wyraźnie. To znaczy, nie to, co działo się w przestworzach, ale to że stałam w otoczeniu swoich gości jak ktoś obcy. Chyba nawet przez chwilę nie miałam przed oczami ochronnego szkieleka. Stałam i przyglądałam się wam. Nie wiem dlaczego, ale nie pamiętam, czy Frida była z nami. Więc może już wtedy poszła swoją drogą? Ale Ty byłeś. I pamiętam, że próbowałeś dzielić z nami swoją radość, że wszystko poszło zgodnie z przewidywaniami – ot tak, żeby się czymś cieszyć.

Kiedy zameldowaliśmy, że Frida zaginęła, i wszyscy już złożyliśmy zeznania przed miejscową policją szwedzką, pozwolono nam wracać do domu. Ja miałam jeszcze zostać dobę lub dwie, żeby policja mogła się z kimś skontaktować na miejscu. I chyba także, żeby po prostu ktoś był we Fricksbo, gdyby się pojawiła. Nie bałam się mieszkać sama w środku lasu. Burze, trzeszczące furtki czy szczury nigdy mnie nie przerażały. Więc mieszkałam jeszcze we Fricksbo trzy doby po waszym wyjeździe. Kilkorgu z was pozwoliłam nawet odstawić rovera do domu.

Sprzątnęłam dom i zaczęłam czekać.

Stół i ławka ciągle jeszcze stały przed Fricksbo. Przeważnie wyczekiwałam na tej ławce, a że lato było chłodne, zabrałam z pokoju koc i okryłam sobie nogi. Siedziałam tak w półmroku i rozglądałam się po polanie. Frida mogła przecież tylko zabłądzić i każdej chwili zjawić się z powrotem. Przesiedziałam z tym kocem na kolanach owe trzy wieczory, spoglądając w stronę brzozowego lasu, który otaczał nasz dom ze wszystkich stron. Było za jasno, żeby iść spać, ta jasność utrzymywała się, wiadomo, że trzeba starannie zaciągnąć story, kiedy w końcu idzie się spać, a mimo to trudno było zasnąć.

Sprzątanie i kilka spacerów wokół jezior przeczesywanych w poszukiwaniu Fridy porządnie mnie zmęczyły. Siedziałam i czekałam, wielokrotnie przysypiając. A kiedy nie spałam, zdarzało się, że papieros, który trzymałam w palcach, wysuwał mi się z ręki.

W pewnej chwili spadł mi właśnie na ziemię, a kiedy go podniosłam, zobaczyłam na polanie jakąś sylwetkę. Ani przez chwilę nie miałam wątpliwości, że to Frida. I nie miałam wątpliwości, że to nie sen, lecz jawa.

Ale to chyba jednak był sen na jawie.

Frida stoi trzydzieści, może czterdzieści metrów ode mnie. Stoi, zupełnie tak, jakby coś jej przeszkadzało podejść bliżej. W ogóle się poruszyć. Ale daje mi mały znak. Unosi prawą rękę i pokazuje, że mam wstać i podejść do niej. Zwraca rękę grzbietem w moją stronę i zagina dwa palce do siebie. Chodź, mówi ręką. Wstań i chodź!

Głowa opada mi na piersi, ale szybko ją podnoszę, prostuję kark. Przez chwilę mam zamknięte oczy, nie wiem czemu. Musisz otworzyć oczy, mówię sama do siebie.

Ale gdy je otwieram, na polanie naturalnie nikogo nie ma. Coś mi się przyśniło. Ale to najbardziej rzeczywisty sen w moim życiu.

W dwa lata później, Allanie, byłam w Lozannie. Wysłano mnie do szkoły hotelarskiej: pomysł ojca. Coś trzeba ze mną zrobić, tyle do niego jednak docierało: dziecko nie czuje się dobrze. A zatem pobierałam, jak to dumnie wyjaśniał, najdroższe wykształcenie na świecie. Nie narzekałam, bo zaczynałam sobie uświadamiać, że celem mojego życia ma być służenie innym. Bawię się słowami „obsługująca dusza”. (Mój ojciec uważał, że powinnam zostać królową hotelarstwa w Danii). Byłam w każdym razie w Lozannie i w czasie przerwy w wyczerpujących zajęciach, z hotelu „Maison d’Or”, w którym odbywałam praktykę, poszłam nad Jezioro Lemańskie (to, które my, Duńczycy, nazywamy Genewskim). Był październik i palmy w glinianych donicach już usunięto na okres zimy. Promenada wzdłuż jeziora dość wyludniona. Mam na sobie kurtkę od Diora. Tu i ówdzie jeszcze widziałam trochę wystawionych stolików, ale siedziała przy nich tylko garstka przemarzniętych ludzi i coraz dłużej trwało, nim jakiś kelner przeciął promenadę, żeby przyjąć zamówienie czy coś podać.

I znów to się stało o zmierzchu.

Już od dawna nie poświęciłam naszej wycieczce do Szwecji ani jednej myśli. Oczywiście nikt nie wie, co dzieje się pod powierzchnią świadomości. Siadam i marzę, mimo tej kosztownej kurtki. Spoglądam na drugi brzeg jeziora, na masywy Thonon-les-bains i Haute-Savoie. Zapalają się tam wzdłuż wody światła i odbijają w gładkiej tafli jeziora. Światła zapalają się także na wąskich serpentynach, które stromymi zboczami prowadzą do willi bogaczy.

Zapalam papierosa, ale jestem zmęczona i roztargniona, spada mi popiół. Przysuwam bliżej popielniczkę i szklanę wody mineralnej. Czuję, jak mi głowa opada. Papieros gaśnie, wyjmuję z torebki złotą zapalniczkę Cartiera (od taty) i trzymam ją w ręku z mocnym postanowieniem, że muszę na nowo przypalić papierosa.

Kiedy spoglądam w stronę jeziora, uświadamiam sobie, że tam, przy najbardziej odległym stoliku, siedzi ktoś, kogo znam. To Frida. Ona też pali.

Kiedy zauważa, że ją rozpoznałam, robi to samo, co w moim śnie w Smålandzie ponad dwa lata temu: podnosi rękę w taki sposób, że jest grzbietem zwrócona do mnie. I daje mi znak palcami. Tego znaku nie można nie zrozumieć. Przyzywa mnie do siebie.

To nie jest ktoś, kto przypomina Fridę. To Frida. Wstaję oszołomiona, zostawiam złotą zapalniczkę na stoliku i idę w jej kierunku.

Drogę zachodzi mi kelner z tacą. Pochyla się, żeby kogoś obsłużyć, i kiedy go wymijam z tłukącym się sercem, zamykam oczy. Nogi mi się plączą, muszę przytrzymać się stolika, żeby nie upaść, ktoś za mną krzyczy, że powinnam uważać.

Teraz, już z otwartymi oczami, idę do tego najbardziej odległego stolika. Nie ma tam nikogo. W popielniczce leży papieros. W ten bezwietrzny wieczór jego dym unosi się w niebo. Na ustniku jest niewyraźny ślad szminki. Krzesło wydaje się jeszcze ciepłe, kiedy kładę na nim rękę.

Rozglądam się, ale nie widzę, żeby ktoś odchodził. A kiedy pytam ludzi przy sąsiednich stolikach, czy nie widzieli tej kobiety w nordyckim typie, kręcą przecząco głowami.

Więc to na pewno jeszcze jedno urojenie. Ale tym razem to wcale nie wygląda to na urojenie, lecz na najprawdziwszą rzeczywistość.

I stąd, Allanie, ten adres. Bo jestem jedną z siostrzyczek Jezusa. Zasadniczo bezimiennych. *Weź swoje łóżę i idź* – wstąpiła we mnie siła, żeby tak uczynić. Nie tego wieczoru w Lozannie. To długi, długi, niekończący się proces. Proces, którego nigdy nie pojęli ani moi rodzice, ani później nieprzebrana rzesza ich adwokatów.

Mieszkamy, jak pod adresem, który odszukałeś, przy ulicy Abel Catharine, w najbardziej ponurym zakątku ponurego miasta. W chwili obecnej dzieli mieszkanie siedem siostrzyczek, a jego właściciel robi, co może, żeby nam je wydrzeć, zmodernizować i wynająć za dziesięć razy większą sumę.

Tu jest co robić. Mamy wystarczającą liczbę dusz. Troszczymy się przede wszystkim o ich sprawy materialne. Resztę chętnie pozostawiamy innym. Ale każdy nowy dzień jest darem.

Serdeczne pozdrowienia, Twoja – jak się kiedyś nazywałam –

*Barbara*



## VI

### Historia żołnierza

*Allanie,*

Ja byłem chyba najstarszy z was, kiedy się spotkaliśmy w Smålandzie w 1954 roku, żeby zobaczyć zaćmienie. Miałem dwadzieścia osiem lat. Przed wami było życie, ja byłem człowiekiem z przeszłością. I o tej przeszłości opowiadałem na prawo i lewo każdemu, kto tylko chciał słuchać, bo jakże inaczej mógłbym wzbudzić zainteresowanie? Byliście przecież studentami, pochodziliście z zamożnych domów. Potrafiliście rozmawiać o książkach, obrazach i muzyce. Ja mogłem mówić tylko o tym, jak to jest być żołnierzem – albo dywersantem. Większość z was patrzyła z góry na zawód, który wybrałem sobie po wojnie. Zawodowy żołnierz. Ale dywersanci byli zupełnie okay. Należeli przecież do przeszłości, bardzo romantycznej. A jeśli chodzi o współczesność, to wszyscy byliście bandą pacyfistów.

Wzbudzałem zainteresowanie, opowiadając o jedenastu czy dwunastu miesiącach, podczas których działałem na peryferiach ruchu oporu. I o tym, że jak wszystko na to wskazuje – zabiłem człowieka.

Piszesz, że po naszym powrocie do Szwecji odwiedził Cię raz duński policjant. Ja miałem takich odwiedzin pięć, sześć, a może siedem. Co najmniej. Chodziło o to, że byłem „starym znajomym”. Mieli kupę papierów na mój temat. Jeśli ktoś miał być kiedykolwiek podejrzany o sprzątnięcie Fridy z tego świata, musiałem to być ja. Domyślałam się, że w tych aktach, wśród których teraz gromadzi się kurz, zajmuję więcej miejsca niż wy wszyscy razem wzięci.

Najgorsze, co zrobiłem, wydarzyło się w czasie, kiedy nie funkcjonowała policja, w styczniu 1945 roku, więc na to nie ma papierów. Miałem dziewiętnaście lat i wszedłem w kontakt z ugrupowaniem ruchu oporu (pod BOPA). Zauważyli, że jestem dość dobrym strzelcem. Razem z kolegą, którego nazwiska nigdy się nie dowiedziałem, ale który nie był takim dobrym strzelcem jak ja, polecili mi pojechać do Faaborga i zlikwidować donosiciela.

W dziewięć lat później ten wyczyn okazał się nadal przydatny. Frida знаła pisarza, wątlęgo faceta, który żłopał kubłami herbatę i zdecydowanie nadużywał obcych słów. Pamiętam, że otrzymałem zadanie: opowiedzieć mu swoją historię. Może mogła mu się na coś przydać? Szczerze mówiąc, wątpiłem w to, ale chętnie ją opowiedziałem. Mogę to zrobić jeszcze raz. Jadę z moim kumplem do Faaborga. Ten facet, którego mamy zastrzelić, jest agentem ubezpieczeniowym i nazywa się Asmussen. Każdego popołudnia, punktualnie jak w zegarku, przychodzi do restauracji Faergegarden, nawiasem mówiąc, istniejącej do dziś, i w chwilę później z niej wychodzi. Kiedyś była to podrzędna knajpa, dzisiaj – wykwintna restauracja. Ale nadal ma wejście z rogu, trzy stopnie prowadzą w dół.

Znajduje się niedaleko portu i kolei. Wtedy na tym terenie była jeszcze duża fabryka konserw, więc zawsze śmierdziało tam gotowanym mięsem. Tak było i tego popołudnia o zmroku, kiedy mój kumpel i ja ustawiliśmy się między dwoma wagonami towarowymi, piętnaście, dwadzieścia metrów od schodów o trzech stopniach.

Było żelazną regułą, żeby strzelać, nie dając się rozpoznać. Ale od biedy można było zawołać faceta po nazwisku i zobaczyć, czy zareaguje. Umówiliśmy się, mój kumpel i ja, że tak zrobimy. O wpół do piątej, dokładnie jak nam powiedziano, otwierają się drzwi i facet, który w stu procentach odpowiada opisowi, wchodzi po tych trzech stopniach na górę i uważnie się rozgląda dookoła.

– Asmussen! – krzyczę.

– Tak – odpowiada facet i patrzy prosto przed siebie.

Strzelamy równocześnie i on upada do tyłu. Który z nas go trafił, nigdy się nie dowiemy. Może obaj? Tyle że, jak mówiłem, mój kumpel był gorszym strzelcem niż ja. Facet pada na schody, prosto na dwóch mężczyzn, którzy właśnie otworzyli drzwi.

– Niech to cholera – krzyczy jeden z nich – zastrzelili Rasmussena. Ktoś, do cholery, zastrzelił Rasmussena!

A to ci heca.

Agent ubezpieczeniowy Asmussen przeżył okupację. Okazało się, że zaszła pomyłka, pomyłono osoby, a on na dodatek był dywersantem. Więc to dobrze, że go nie sprzątnęliśmy. Ale Rasmussen był Bogu ducha winnym człowiekiem. Jeśli tacy w ogóle istnieli w czasie wojny. Historia została skrzętnie zatuszowana. Nie mieliśmy sobie nic do wyrzucenia.

W pierwszym roku po wyzwoleniu moje życie było jednym wielkim bajzłem. Wpakowałem się w szemrane interesy, między innymi na czarnym rynku. Za dużo piłem i pożerałem ogromną ilość amfetaminy. Od maja 1945 do maja 1946 roku wpadałem masę razy za bójki i awantury domowe. Zdążyłem wylądować i w izbie wytrzeźwień, i w areszcie. Uznano, że mam skłonności do rozboju, i nie bez przyczyny.

W którejś z przerw między dwiema popijawami zadaję sobie pytanie, czy ja się, do cholery, w ogóle do czegoś nadaję? Odpowiedź znajduję pod ręką. Nadaję się na żołnierza! Zaczyna się zimna wojna, duńska armia na szczęście się rozrasta, moją sprawę popiera kilku ludzi z dawnej grupy, mimo zafajdanej kartoteki udaje mi się rozpocząć udaną karierę w duńskiej armii. Zostaję zawodowym żołnierzem.

W 1954 roku byłem już od trzech lat kapitanem, stacjonowałem w koszarach Almegaard na Bornholmie. W tym czasie znałem Fridę już od roku i zdawałem sobie sprawę, że nie jestem jedynym mężczyzną, z którym się spotyka. Ale kiedy bywałem w Kopenhadze, widywała się tylko ze mną. Prosiłem ją, żeby za mnie wyszła, nie powiedziała tak, ale i nie wywaliła mnie na zbity łeb po tych oświadczeniach, więc może się namyślała. Tego pisarza (nie pamiętam jego nazwiska) nie traktowałem jak poważnego rywala. Byli jednak i inni. Nigdy ich nie spotkałem i nigdy nie spotkam. Ale o jednym z nich mogę Ci coś opowiedzieć. Za chwilę.

Na tę wycieczkę do Szwecji nie mogłem z wami pojechać. Od dwudziestego szóstego czerwca przez dziesięć dni miały się odbywać manewry na Bałtyku. Koszary Almegaard były stanowiskiem dowodzenia.

Te manewry zostały jednak z czterdziestoosiogodzinnym wyprzedzeniem odłożone do września – z przyczyn, których już dawno nie pamiętam. Wysłałem więc Fridzie telegram, wziąłem motocykl i pojechałem przez Renne; uciekł mi prom do Simrishamn, ale przez Kopenhagę i Helsingør-Hälsingborg dotarłem do Smålandu. Udało mi się przyjechać w kilka godzin po was.

Postawiłem motocykl na statywie i zacząłem go czyścić z kurzu i benzyny. Nieźle mnie wytrzymała jazda po wąskich drogach, ale w ogóle nie czuję się zmęczony. I jest tu Frida!

I tak docieram do nocy przed zaćmieniem. Ten poeta przywłókł się razem z Fridą, ale to ja wrzuciłem swoje torby do pokoju Fridy i w ten sposób sprawa została załatwiona. Facet wycofał się. Piliśmy, co poniekąd więcej niż inni. Ty piłeś pommac, piłeś i wróciłeś ze swoją latarką do namiotu. Okay. Ja położyłem się w pewnym momencie na łóżku w pokoju moim i Fridy. Leżałem i cieszyłem się na jej przyjście, ale długo to trwało. Gramofon na zewnątrz rzępolił w kółko walca „Tennessee”, o którym też piszesz, ale w chwilę potem słyszałem, że Frida stoi w kuchni i z kimś rozmawia, chyba z Barbarą, naszą gospodynią. Kiedy Frida w końcu do mnie przyszła, rozebrała się szybko, nie zapalając światła. Ja chciałem zapalić małą lampkę naftową przy łóżku, ale Frida zdmuchnęła mi zapałkę. Trudno, chociaż tak fajnie było na nią patrzeć, że światła nigdy nie wydawało mi się za dużo!

Kochaliśmy się więc po ciemku. Pachniało trochę potem i płynem przeciwko komarom, ale mnie to nie przeszkadzało. Nie widziałem jej od Wielkanocy, ale tak się w niej zadurzyłem, że wcale nie chciało mi się przez ten czas kochać z innymi dziewczynami. Była warta tego, żeby na nią czekać. Trudno mi to opisać słowami, ale mniejsza z tym. W końcu – byłem jednak zmęczony – zasnąłem. Potem, na wpół śpiąc, poczułem, że Frida wysuwa się z moich ramion. Stała w oknie i wyglądała na polaną. Jakby kogoś szukała wzrokiem. Usłyszałem, że zbiera trochę rzeczy i wychodzi z pokoju. I zaraz potem, że pompuje ze studni wodę.

Wyszedłem z łóżka i stanąłem przy oknie. Frida napełniła jedno wiadro i właśnie napełniała następne. Owinęła się w duży ręcznik. Zataszczyła te dwa kubły do małej balii i przelała do niej wodę. A potem zsunęła ręcznik i stała przez chwilę, przeciągając się, zanim weszła do balii.

Gdybyś nie spał, Allanie, i wyjrzał przez szparę w namiocie, to byś ujrzął wspaniały widok. I jeśli by Frida Cię zobaczyła, na pewno pomachała by Ci ręką, wcale się nie śpiesząc z podniesieniem ręcznika. Bo była dumna ze swojego ciała i innym też pozwalała je podziwiać.

Ale w tym silnym świetle zauważyłem coś, co powinienem już chyba widzieć, kiedy byłem razem z Fridą. Zobaczyłem, że Frida jest cała posiniaczona. Na pewno zdmuchnęła zapalną, żeby tego nie zobaczył, myślałem sobie.

Widocznie znała kogoś, kto ją bił. Nie wiem, czy tak właśnie myślałem tego ranka. Ale długo się potem nad tym zastanawiałem. Już nie pamiętam, ile miała tych sińców i gdzie. Ale pamiętam, że było to dla mnie jasne, że tu nie może chodzić o zwykły upadek ze schodów. Ktoś ją solidnie sprął.

Idę do łóżka wściekły, będę musiał z nią o tym pogadać. Ale zapadam w mocny sen, który trwa do późnego przedpołudnia.

Potem Ty rozdajesz okopcone szkiełka, zaćmienie jest tuż-tuż. Pamiętam, że kiedy nadeszło, martwię się, że Fridy – która kocha samotne spacerzy – nie ma razem z nami. Martwię się o jej oczy. I jestem wściekły o te sińce. Ale upływa wiele godzin, może doba, zanim poważnie zaczynam się bać o jej życie.

Resztę pobytu pamiętasz równie dobrze jak ja. Zamieszanie. Powrót do domu. Nasz strach, że Fridzie stało się coś złego.

Muszę koniecznie wracać na Bornholm. A tu policja kryminalna zaczyna mi deptać po piętach. Jest problem z motocyklem, który należy do wojska i nie wolno go było ot, tak sobie, wypożyczyć na prywatną wycieczkę. A już na pewno nie do neutralnej Szwecji! A do tego jeszcze mój wyciąg z rejestru karalności, czy jak to się tam nazywa. Jak wspomniałem, byłem zamieszany w masę gównianych historii, znany jako notoryczny chuligan. Kiedy mnie przesłuchiowano w związku z tymi starymi sprawami, myślałem o posiniaczonym ciele Fridy i zastanawiałem się, jak będzie wyglądać przesłuchanie, jeśli znajdą jej zwłoki.

Z przesłuchań wynikało, że ktoś poinformował policję, iż Frida chciała ze mną zerwać. Że się mnie bała! Domyślam się, że to ten poeta sfabrykował taką historię. Czy Ci już wspominałem, że uchylał się od służby wojskowej i łąził w islandzkim swetrze?

Ale muszę przyznać, że nie wyobrażam sobie, żeby to on bił Fridę – i też wcale sobie nie wyobrażam, żeby Frida mu na to pozwalała. Fridzie nie były obce nowe pomysły. Częściowo rzeczy, o których się wtedy głośno nie mówiło. Już chyba napomknąłem, że miała w sobie coś, co jakiś głupek mógłby uznać za ekshibicjonizm. Ale bicie – i to przez tego rachitycznego, początkującego poetę – na to się nie nabiorę.

Pisziesz, że i w Szwecji i w Danii leży gdzieś w archiwach policyjnych sporo papierów dotyczących tej sprawy. I że nie można otrzymać pozwolenia na ich przeczytanie. Ta „sprawa” wpłynęła na moją karierę wojskową i zepchnęła mnie na boczny tor na wiele lat. Domyślam się, że więcej niż połowa tych starych szpargałów dotyczy mnie. Co najmniej. Byłem przecież najbardziej podejrzany jako ewentualny morderca. A zapewniam Cię, że to właśnie ja kochałem Fridę najbardziej ze wszystkich. Ale nie mogę tego udowodnić. I to by było tyle. Powodzenia.

*Twój stary żołnierz Lasse*



## VII

### Niewidzialny fotograf

*Drogi Allanie,*

Kiedy zadałeś pytanie, co robiłam 29 czerwca czterdzieści dwa lata temu, to od razu przyszło mi na myśl: czy mam jakieś zdjęcia? Mam. Zesłam do piwnicy i szybko odnalazłam, pociętą i schowaną w albumie, żeby się nie kurzyła, rolkę filmu z czerwca 1954 roku, czwarty tydzień.

Byłam rozsądna i mimo protestów ojca (że to „zajęcie nie dla dziewczyny”) zostałam – tak samo jak on – fotografem prasowym. W późniejszym okresie życia otworzyłam własne atelier i pracowałam jako fotograf portrecista. Dziś zastanawiam się i nad sprzedażą firmy i praw, choć właśnie teraz portret przeżywa renesans. Zewsząd naciskają, żeby wybierać noworodki na „najrozkoszniejszego bobasa roku”, trzeba, w mocno upiękuszony sposób, uwiecznić seniorów w chwilach zadumy, jest dosyć roboty z wariacko kosztownymi zdjęciami ślubnych par na łonie przyrody – ubranych w wypożyczone ciuchy i najchętniej usadzonych w samym środku tylko co zazielenionego bukowego lasu. W tym są pieniądze, ale chociaż to dziwne, okazało się, że jeszcze więcej pieniędzy jest w zdjęciach, jakie przez całe życie i tylko dla przyjemności pstrykałam starą leicą, z którą rozstaję się tak niechętnie.

Jestem mianowicie, od najmłodszych lat, owładnięta ideą – ktoś mógłby ją nazwać *idée fixe* – że ja gdy tylko się dowiem, iż coś ma zniknąć, zaraz muszę to sfotografować! Domy przeznaczone do rozbioru. Likwidowane sklepy. Ich właściciele, którzy krzątają się, robiąc porządki. Trolejbusy, tramwaje i pociągi, które wyruszają na trasę po raz ostatni.

Kiedy w 1954 roku pojechaliśmy do Szwecji, fotografowałam już od wielu lat, niemal systematycznie, to, co skazane na śmierć. Skatalogowałam motywy i powoli zaczęłam się uczyć, jak tchnąć w nie fotograficzną „sztukę”.

W ostatnich latach wydałam kilka (straszliwie kosztownych) albumów ze zdjęciami świata, który już zniknął. Poza tym, w wielu galeriach fotograficznych wystawiano i sprzedawano moje prace.

Dzisiaj więcej zainteresowania okazuje się martwym rzeczom niż martwym ludziom. Album o pacjentach hospicjum, w który włożyłam całą duszę (jego bohaterem był faktycznie mój ojciec), wywołał protesty – wielu ludzi wzbraniało się przed nim. Jednak i on znalazł małą i świetnie płacącą grupkę odbiorców.

Moim absolutnie największym sukcesem są na pewno tramwaje! Na szczęście w swoim archiwum mam wiele tysięcy zdjęć kopenhaskich tramwajów. Wydałam o nich trzy nostalgiczne albumy. Najbardziej popularny jest tramwaj z lat pięćdziesiątych na dość jeszcze pustych ulicach Kopenhagi. Najchętniej jesienią i o zmierzchu. Dobrze, jeśli asfalt połyskuje i odbija światło z tramwajowych okien.

Przygarbiony kierowca albo konduktor z profilu zwiększają efekt. Szyny powinny raczej błyszczeć, gładkie i wytarte między kocimi łbami.

Jak się domyślasz, z czasem nabrałam trochę niejednoznacznego i dość ironicznego stosunku do tego motywu, ale kiedyś naprawdę go uwielbiałam.

I do tej roli – niemal grabarza.

A może powinnam raczej powiedzieć: roli kata?

Wysłałam Ci te trzydzieści sześć zdjęć, które zrobiłam we Fricksbo w 1954 roku. Wywołałam film, ale nigdy nie wykonałam odbitek; chyba dlatego, że podróż skończyła się tak smutno. Zeszłam więc teraz do ciemni i zrobiłam dwa komplety zdjęć plus powiększenia wycinków kilku z nich.

Ponumerowałam zdjęcia na odwrocie, żebyśmy mogli razem prześledzić całą historię, którą opowiadają one po raz wtóry. Wszystko wydaje się bardzo proste. Przyjazd, pobyt, odjazd. Trzy doby. Jednak po dokładnym obejrzeniu zdjęć wydaje mi się, że dostrzegam jedną czy dwie zagadkowe rzeczy.

A więc od początku: przyjeżdżamy tym dwukolorowym roverem i wyładujemy go. Potem, na samym froncie, stoi motocykl (kto nim przyjechał?) i widać rozbity mały namiot – musi być chyba Twój.

Teraz okopasz i rozdajesz szkiełka, potem wystawiono na zewnątrz jakiś stół. Dziewczyny obierają ziemniaki, płuczą truskawki i sałatę, a jeden z chłopców wychodzi z domu, niosąc gramofon.

Na „artystycznej” fotografii uplasowałam gramofon na pierwszym planie, na tle krzątających się dziewczyn. Za to naprawdę można przeczytać nalepkę na płycie. Jeżeli masz trudności, spróbuj za pomocą lupy. To walc „Tennessee”!

Teraz towarzystwo wynosi lampy naftowe – zdjęcie o zmierzchu, zrobione aparatem trzymanym w rękę, jest trochę poruszone. Żeby to samo nie stało się z ostatnim zdjęciem tego wieczoru, które pstryknęłam jakby wprost w jasną, letnią noc – z dwiema dziewczynami, które rozmawiają przy stole, i z odbłaskiem Twojej latarki w namiocie – przycisnęłam pewnie łokcie do parapetu okna. To już niemal granica tego, do czego był zdolny wysokiej czułości film w latach pięćdziesiątych. Wydaje mi się, że to wygląda tak, jakby ktoś odsunął na bok połę namiotu i wyglądał z niego – czy to Ty w tę cichą noc usłyszałeś, że otworzyłam okno, przygotowując się do zrobienia zdjęcia, czy słyszałeś lekkie pchnięcie skrzydeł i stukające haczyki?

Nawet gdyby zdjęcie było kolorowe, nie wyszłoby o wiele barwniejsze. Letnia noc jest szara. Tylko lampy naftowe rzuciłyby ciepły, czerwonawy odcień na te niesłychanie młodziutkie dziewczęce twarze. Boże Ty mój, jakże to było dawno temu!

A teraz weźmy następny dzień: to musiał być trzydziesty czerwca. Poranna toaleta i śniadanie. I znów chłopaki objijają się, a dziewczyny są zabiegane. Przy śniadaniu łapię parę prawdziwych portretów. Jeden z nich jest Twój. Sztywniejesz, bo choć już prawie nauczyłam się techniki fotografii portretowej, to przede mną jeszcze dużo pracy, zanim opanuję tę grę, która pozwoli moim „ofiarom” zapomnieć się i otworzyć.

Pisarz Jon Hastrup nie jest właściwie bardziej fotogeniczny niż Ty, ale bardziej przyzwyczajony do pozowania. Wygląda jak prawdziwy artysta! Islandzki sweter, włosy zaczesane bez przedziałka do tyłu, w zębach fajka, myśląca, nieprzejeżdżana twarz. Nawiasem mówiąc, co się z nim dzieje?

No i Frida. Gwiazda układu, jak piszesz – czy ja wiem? – na fotografii wyszła dobrze. Ja, która tak lubię utrzymywać rzeczy, nim znikną – czy mogłabym przypuścić, że będę ostatnią osobą, która sportretowała Fridę? Nie była w gruncie rzeczy żadną piękną, ale dobrze widzę, co się w niej tak podobało chłopakom. Długo siedziałam i przyglądałam się temu zdjęciu; najpierw wydała mi się po prostu bardzo ładna i pewna siebie, ale potem zauważyłam coś innego. Nie, nie była taka sztywna jak Ty, wcale nie, a jednak próbowała zachować maskę. Na dnie jej oczu kryje się jakaś niepewność. Może nawet głęboka niepewność? Ale nie, to chyba tylko coś, co przypisuję zdjęciu, bo... Z jakiegoś powodu zupełnie nie mogę dokończyć tego zdania.

Byłam zakochana w Jonie Hastrupie. Oczywiście bardzo dawno temu i dziś jest mi to zupełnie obojętne. Ale może wynurza się jednak na powierzchnię, gdy patrzę na portret Fridy (ładne światło w jej jasnych włosach) dziś, z czterdziestodwuletnim opóźnieniem?

A teraz popatrz, oto mała zagadka.

Zdjęcie numer 20 jest przecież portretem grupowym. Krótkie cienie, środek dnia. To mogło być tuż przed zaćmieniem, bo wielu z nas zabawiło się przykładaniem szkiełek do oczu właśnie wtedy, gdy pstryknął fotograf. Maskarada.

Ale kto zrobił zdjęcie?

No, chyba ty, powiesz. Aparat fotograficzny był przecież twój.

Taki to już los fotografów, że nie ma ich na zdjęciach, że są ludźmi niewidzialnymi.

Ale na zdjęciu jest za dużo osób! Wszyscy, którzy tam byli, plus ja.

Frida – jakie to dla niej typowe! – ustawiła się dokładnie w samym środku grupy. Z samego brzegu na prawo stoję ja – obok Jona – z przydymionym szkielekiem tak podniesionym, że częściowo zasłania mi oczy, a częściowo rzuca cień na usta i sprawia, że wyglądają jak otwarte, jakbym stała i krzyczała!

Allan, czy nie zawodzi Cię pamięć? Czy nie było tego dnia w Fricksbo więcej osób, niż te, które wymieniłeś? Rozmyślałam nad tym dość długo. Bo któż by mógł być fotografem? Kto „poświęcił się” i nie widnieje na zdjęciu? Muszę przyznać, że to „poświęcenie” jest tu bardzo na miejscu. Nie lubię być uwieczniona z wyrazem twarzy, nad którym nie panuję – staram się tego unikać. Jakkolwiek niechętnie znikam, jak to się dzieje z moimi tematami, gdy tylko próbuję je przyłapać.

Popatrz uważniej na dwa powiększenia wycinków, które na odwrocie oznaczyłam W1 i W2. W1 to gruboziarniste powiększenie mojej twarzy. Użyłam miękkiego papieru, żeby choć odrobinę wydobyć zarys moich ust, które ocienia okopcone szkieleko. Może nie krzyczę, ale moje usta są szeroko otwarte. Dlaczego? Może dlatego, że brak mi tchu?

Przejdź teraz do powiększenia wycinka, który oznaczyłam jako W2. To front zdjęcia, mszysta polana z małymi wzniesieniami. Pada na nią cień. Czyżby to był cień naszego niewidzialnego fotografa, tego zapomnianego gościa?

Wszystkim na zdjęciu światło pada prosto w oczy – jak na doświadczonego fotografa, nie jest to zbyt zręczna robota. Chyba że fotograf właśnie siłą słońca uważa za ważną część swojego tematu – tego dnia z zaćmieniem i ryzykiem oślepienia. Tak czy inaczej, słońce było za aparatem. Popatrz uważnie na cień fotografa.

Powiedziałabym, że to był bardzo chudziutki fotograf, nie uważasz? Z malutką głową. Próbowałam powiększać dalej, ale zdjęcie rozlało się, jak już wielokrotnie zdarzyło się to wcześniej. Zawsze kończy się na tym, że ukazuje się tylko srebrna mozaika, chaos, w jakim uwięzione zostają ziarna negatywu, gdy światło wpada do czarnego aparatu, z którego ma „wylecieć ptaszek”. Każde nowe powiększenie jest po prostu jeszcze bardziej nieczytelne niż poprzednie.

Ale na podstawie takiego powiększenia, jakie właśnie trzymasz w ręku, uważam – choć nie jestem tego w stu procentach pewna – że mogę zdementować obecność nieznanego gościa. Nogi nie są nogami człowieka, lecz statywu. Głowa nie jest głową, tylko moją retiną: tym wspaniałym prezentem z okazji konfirmacji, który (w przeciwieństwie do leiki, na którą uskładałam sobie pieniądze w rok później) miał samowyzwalacz. A moje usta na zdjęciu są otwarte chyba dlatego, że biegłam, by zdążyć stanąć obok was, zanim pstryknie wyzwalacz.

I na tym polega cała zagadka.

Ale na końcu rolki pojawia się coś, czego rzeczywiście nie potrafię wyjaśnić.

Spróbuj popatrzeć na zdjęcia 32, 33 i 34. Zorientujesz się zarówno z ich kolejności, jak i ze sposobu, w jaki pada cień, że jest przedpołudnie. Następne przedpołudnie, gdy już rozpoczęliśmy poszukiwania Fridy. Te zdjęcia ja zrobiłam, łatwo to rozszyfrować, bo tu właśnie poszłam w ślady ojca, fotografa prasowego. Jak widzisz, przedstawiają one dwóch miejscowych policjantów, którzy pojawili się, żeby nas wypytać. Zareagowałam tak szybko i dyskretnie, jakby to zrobił reporter (wiesz, urzędnicy w trakcie pracy). Na wszystkich trzech zdjęciach, stojąc na drugim planie, zaglądasz w głębi jadalni przez niziutkie drzwi. A tam, w środku, pada na coś słońce i nawet bez powiększenia zobaczysz rzeczywiście wyraźnie, co to jest: tarcza stojącego zegara.

Skoncentruj się teraz na wskazówkach! Jest wpół do jedenastej. Przejdź do następnego zdjęcia. I znów do następnego. Wskazówka przesuwana się lekko na każdym zdjęciu. Minuta po wpół do jedenastej. Dwie minuty po wpół. Zegar chodzi. Między zrobionymi przeze mnie zdjęciami upływa mniej więcej minuta.

A teraz spójrz na dół każdego z tych trzech zaznaczonych zdjęć. Dlaczego zegar chodzi? No, bo to zegar z ciężarkami. Wyraźnie widzisz masywne ciężarki, które błyszczą w słońcu. Zegar na pewno został nakręcony i nastawiony przez Barbarę, której rodzice byli właścicielami Fricksbo. Przypuszczalnie zrobiła to od razu po przyjeździe. Porządek musi być!

Przejdź teraz do ostatnich dwóch zdjęć z tej rolki, 35 i 36. Najpierw 35: ktoś załadowuje akurat samochód, widocznie szykujemy się do odjazdu. Barbara siedzi przy stole, na którym stoi gramofon. Ona nie wyjeżdża. Niziutkie drzwi do jadalni są ciągle otwarte. Ciągle widać zegar. Cienie zrobiły się dużo dłuższe, od czasu wizyty policjantów musiało upłynąć parę godzin. Co najmniej.



Ale nie na zegarze.

Bo stoi. Wskazuje za dziewiętnaście jedenastą, a więc musiał stanąć w dziewięć minut po poprzednim zdjęciu. I wreszcie zdjęcie 36.

Ostatnie.

Popatrz na nie uważnie.

Znów zjawili się policjanci. Chyba przyszło im do głowy więcej pytań. Tak czy inaczej: są na ostatnim zdjęciu filmu.

No to co, myślisz sobie.

Cóż, na pozór nie ma w tym nic dziwnego. Barbara nakręciła zegar po naszym przyjeździe, potem miała inne sprawy na głowie i zapomniała o ponownym nakręceniu, dlatego zegar stanął. Otóż nie, powód był inny.

(Tylko nie myśl, że zwariowałam. Po prostu przez całe życie ćwiczyłam odczytywanie zdjęć. A często można z nich odczytać dość dużo. Jak tutaj).

Przypatrz się dobrze ostatniej fotografii, numer 36. Przesuń wzrok z tarczy w dół. Teraz widzisz, czemu zegar stanął.

Te dwa ciężarki, które go powinny utrzymywać w ruchu, zniknęły.

Drogi Allanie, niewiele, szczerze mówiąc, pamiętam z tej wycieczki. Byłam zakochana w Jonie, ale bez wzajemności. Potem zginęła dziewczyna, w której był zakochany, ale z tego powodu nie zakochał się przecież we mnie. Więc wróciłam do domu i, Bogu dzięki, tak wiele innych rzeczy wydarzyło się w moim życiu, że tamte czerwcowe dni poszły w zapomnienie.

Ale nie zapomniał o nich mój aparat fotograficzny. Wydaje mi się, niestety, że te zdjęcia raczej sprowokują nowe pytania, niż udzielą odpowiedzi na dotychczasowe. Serdeczne pozdrowienia od twojej

*Caroli*

## VIII

### Poufne informacje

*Drogi Allanie,*

Dziękuję Ci za list. Niesłychanie łatwo mogę rozwiązać zagadkę zaginięcia Fridy Lander w czasie zaćmienia słońca w 1954 roku. Ale najpierw muszę Cię usilnie prosić, żebyś na przyszłość nie korzystał z adresu, który znalazłeś w książce telefonicznej, lecz kierował korespondencję pod załączony numer skrytki pocztowej. Ze stempla pocztowego na liście zorientujesz się, że pofatygowałem się aż do Malmö. Sprawa wygląda tak, że moja korespondencja jest systematycznie otwierana i kontrolowana przez wywiad wojskowy i Ministerstwo Zdrowia, a być może także przez reprezentantów Duńskiego Związku Szachowego. Dotyczy to również wysyłanych listów, które nieostrożnie nadawałem z Kopenhagi. Ponieważ mój list do Ciebie, jak się sam przekonasz, zawiera wyjątkowo poufne informacje, wyprawa promem do Malmö była warta zachodu.

Moja znajomość z Fridą sięga czasów szkolnych. Łączyło nas zainteresowanie szachami. Dopóki nie zacząłem brać udziału w turniejach, byliśmy równorzędnymi graczami. Gdyby Frida nie postanowiła aż tak rozszerzyć swoich zainteresowań (nie zawsze z pożytkiem dla samej siebie), to myślę, że mogłaby wyrosnąć na gracza budzącego prawdziwy postrach.

Nasz cotygodniowy wieczór szachowy stał się chyba swego rodzaju ostoją dla jej powikłanego życia. Tu nie musiała stawiać czoła żarliwym przyjaźniom i miłościom. Tu, w żelaznej, ale krystalicznie przejrzystej logice gry, można było znaleźć spokój.

Ojciec Fridy, ordynator (później profesor) Holger Lander, przychodził czasem do pokoju Fridy, żeby obserwować nasze rozgrywki.

W latach gimnazjalnych nie miałem jeszcze pojęcia, czego można się spodziewać po tym człowieku.

Mój własny, ciągnący się przez całe życie zatarg z wywiadem zaczął się od mojej decyzji latem 1953 roku, żeby wziąć udział w turnieju młodzieżowym w Bukareszcie. Kierownictwo Duńskiego Związku Szachowego odradzało mi uczestnictwo; być może w porozumieniu z wywiadem wojskowym (i Ministerstwem Zdrowia?). Rywale ze Związku na pewno próbowali w ten sposób zepchnąć przyszłego mistrza na boczny tor. Gdybym usłuchał wtedy ich rady, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Nie otwierano by na przykład mojej korespondencji (nawet nie masz pojęcia, w jak niezręczny sposób zaklejają potem listy!), a mój telefon nie byłby na podsłuchu (i nie wydawałby śmiesznie wysokich buczeń i trzasków).

Już w 1953 roku zaczęły rozchodzić się pogłoski (choć nigdy zarzut nie został oficjalnie sformułowany), że KGB namówiło związek szachowy w Bukareszcie, żeby pozwolił mi wygrać turniej juniorów. I że w zamian za to przynoszące międzynarodowy prestiż zwycięstwo dałem się jakoby zwerbować na szpiega Związku Radzieckiego! Tak, to brzmi nieprawdopodobnie, ale musisz pamiętać, że byliśmy wtedy w najbardziej histerycznej fazie zimnej wojny. Jednakże te pokrętne rozgrywki wokół mojej osoby dopiero wtedy można w pełni zrozumieć, kiedy się sobie jasno uświadomi dwuznaczną rolę Holgera Landera. Jako chirurg na „Jutlandii” miał on, rzecz jasna, ścisłe powiązania z elitą wojskową w Danii, a co za tym idzie, i z wywiadem. Dodaj do tego jego doskonałą pozycję w Ministerstwie Zdrowia, a zorientujesz się, jak to wszystko zostało pięknie ukartowane!

Wygrałem swoje partie uczciwie i absolutnie nie wdawałem się w żadną działalność antypaństwową.

Jednakże w tym samym czasie, pozostając w szachowej przyjaźni z Fridą, zacząłem zapoznawać się z potwornymi stosunkami, jakie panowały w domu przy Sundvaenget.

Na przykład – chociaż to najmniej ważne – Holger Lander zmusił Fridę, żeby latem 1953 roku „szpiegowała” dla niego w szpitalu. Lander miał zatarg z ordynatorem oddziału psychiatrii i na życzenie ojca Frida zgłosiła się do szpitala jako „pacjentka”, żeby dostarczać mu informacji o zaniedbaniach na oddziale rywala. Tę zawsze ciekawską (i w gruncie rzeczy dość łatwowierną) Fridę bawiła powierzona jej rola szpiega, ale to jeszcze nie znaczy, że cała sprawa nie była kompromitująca dla jej ojca. Poza tym uważam, że przebywanie w szpitalu mogło na nią źle podziałać. Cierpienia duchowe też są zaraźliwe. (Sam coś wiem na ten temat). Ten pobyt podkopał jej, zdawałoby się, silną psychikę.

Ale niestety, na Sundvaenget działo się coś o wiele poważniejszego. Nie owijając w bawełnę: między Fridą i ojcem powstała nieprzyzwoita więź o zabarwieniu seksualnym. Frida otwarcie opowiedziała mi o tym, tyle że w lekko zawołowanej formie i na dodatek biorąc na siebie część odpowiedzialności.

Zwierzyła mi się podczas gry w szachy. Mówiąc o osobie, od której się tak dręczące uzależniła, nigdy nie użyła określenia „ojciec”. I Bóg mi świadkiem, że to wcale nie było konieczne. Tą nieprzyzwoitą intymnością przesiąknięty był cały dom. I po matce, i po siostrze widać było, jak z tego powodu cierpią. W czasie tych zwierzeń Frida, mówiąc o swoim ojcu, najczęściej używała zwrotu: „pewna osoba”. Zdarzało się jednak, że mówiła „mój żołnierz”. Przypomnij sobie tylko, że Holger Lander (co prawda, w fartuchu chirurga) zarówno w wojnie radziecko-fińskiej, podczas okupacji, jak i w wojnie koreańskiej grał rolę żołnierza, a przyznasz, że Frida okazała mi zgubne zaufanie.

W moim wyjeździe do Bukaresztu Lander dostrzegł szansę podania w wątpliwość mojej lojalności. Żeby wręcz nie powiedzieć: mojej poczytalności.

W niedługi czas potem, bez najmniejszych skrupułów, razem z duńskimi wojskowymi i duńskimi lekarzami (oraz Duńskim Związkiem Szachowym?) uknuł spisek, który do dzisiejszego dnia działa po to, żeby mnie skompromitować.

Byłoby oczywiście naiwnością myśleć, że przestałem być dla Landera zagrożeniem tylko dlatego, że wyeliminowana została Frida. Zwłaszcza że stałem się głównym świadkiem zarówno wydarzeń w Danii, jak i jej ostatniej doby życia w Szwecji. Kiedy Lander umarł, jakieś dziesięć lat temu, myślałem (co za naiwność), że nareszcie ustanie aura podejrzliwości wokół mojej osoby. Ale nie. Nawet po śmierci Landera nie udało mi się pozbyć nadzoru policyjnego, który uniemożliwia mi przynależność do Duńskiego Związku Szachowego i branie udziału w organizowanych przezeń turniejach.

Niebezpiecznym aspektem każdego dobrze zorganizowanego spisku jest to, że działa on niejako automatycznie, rzucając cię podejrzeń na ofiarę. (Przeczytaj to zdanie kilkakrotnie. Jest prawdziwe i stanowi zarówno podsumowanie gorzkich doświadczeń całego naszego życia, jak i ogólną przestrożę dla innych, odnosząc się nie tylko do mojego skromnego choć zawikłanego losu). Skarżąc się, tak jak ja, na równie dotkliwe prześladowania, człowiek zwykle zaczyna uchodzić za pomyłonego. (I istotnie często na tym się kończy). (Ostatnie zdanie też przeczytaj, jeśliś tak uprzejmy, parę razy).

Mam nadzieję, że to co do minuty dokładne zrelacjonowanie wydarzeń z dwudziestego dziewiątego i trzydziestego czerwca 1954 roku przekona Cię, że jestem przy zdrowych zmysłach. I że raz na zawsze można by rozwiązać zagadkę Fridy Lander, gdyby tylko udało się przedstawić fakty bez ingerencji wywiadu wojskowego, Ministerstwa Zdrowia czy Duńskiego Związku Szachowego.

Dwudziestego dziewiątego czerwca: późnym popołudniem, gdy już wszyscy byli na miejscu, pojawił się, nieproszony, o ile mi wiadomo, gość. Mężczyzna na motocyklu. Był przyjacielem Fridy, częścią jej burzliwego życia. Zauważ, że podawał się za cywila. Tyle że nie pofatygował się przyjechać cywilnym pojazdem. Motocykl należał do wojska! Był przegrzany, jakby stał na słońcu, i mocno zalatywał benzyną. No, ale też i facet przybył jakoby z Bornholmu (?!). Przyjechał w ekspresowym tempie, niczym na rozkaz. Czy możesz mnie winić za to, że – jeśli nie wtedy, to przynajmniej dzisiaj – wnioskuję, że facet był wysłannikiem czy agentem wywiadu; a co za tym idzie najprawdopodobniej i Holgera Landera?

Miałem później okazję bliżej przyjrzeć się „historii” tej osoby. W czasie wojny był najemnym mordercą. Jeszcze zanim wywiad (czyli Lander) poszczuł go na Fridę, miał na sumieniu życie przynajmniej jednego człowieka.

Tego wieczoru ów najemny morderca zepchnął na drugi plan mężczyznę, który towarzyszył Fridzie w podróży do Szwecji: tego pisarza, którego nazwisko gdzieś się, niestety, zawieruszyło w mojej teczce z aktami sprawy. (Czy nie miał na imię Jon?) Morderca spędził noc w pokoju Fridy. Ty i ja, nawiasem mówiąc, graliśmy tego wieczoru w szachy, mam to w aktach. Ty grasz czarnymi, obrona sycylijska, ale blokujesz swoje figury i roztropnie poddajesz się po szesnastu posunięciach. To całkiem usprawiedliwione, bo tego wieczoru, przed zaćmieniem, pochłania Cię co innego. A później leżysz w namiocie, widzę światło Twojej latarki, ponieważ sam mam kłopoty z zaśnięciem i stoję w oknie. Zastanawiam się, czy nie wyjść i nie zaproponować Ci jeszcze jednej partii, ale rozmyślałem się, bo jakieś dwa nocne marki ciągle puszczają nieznośnie rozpraszającego uwagę walca „Tennessee”.

Już świta, gdy po bezsennej nocy znów staję w oknie. Poranny brzask jest przepiękny. Widzę kobietę, która myje się, stojąc w balii, i wcale się nie zasłania. To Frida, i muszę przyznać, że nie od razu odwracam wzrok. Wręcz przeciwnie. Choć nasza przyjaźń opiera się na logice gry w szachy, to przez krótką chwilę logika zupełnie nie wchodzi w grę.

Domyślam się, że jej skóra jest mokra i lśniąca, ale też zapewne blada – lato właściwie jeszcze się nie zaczęło. Być może, bez okularów, mój węch jest wyostrozony, bo zdaje mi się, że czuję zapach siarczanego mydła, którym się namydla – a może, najzwyczajniej w świecie, dolatuje mnie zapach brzeziny i wilgotnego mchu?

I nagle oboje słyszymy ten sam dźwięk. Ludzki gwizd. Gwizd dolatuje ze skraju lasu, więc i Frida, i ja spoglądamy w stronę brzoź, których wierzchołki muska właśnie poranne słońce.

Mężczyzna – jak już odgadłeś – w mundurze, wychodzi na skraj polany i macha ręką do Fridy.

Frida macha do żołnierza, zsuwa ręcznik i wkłada jasny szlafrok kąpielowy. Idzie ku mężczyźnie, on ku niej, i spotykają się niedaleko twojego namiotu. Obejmują się. Trwa to bardzo długo. Żołnierz odwijają Fridę z szlafroka, ona się śmieje, i stoją tak przez chwilę, całując się, aż w końcu Frida się uwalnia, podnosi szlafrok i niedbale zarzuca go na siebie.



Dopiero wtedy naprawdę czuję się jak podglądacz, kiedy idę (nie biegnę!) do nocnego stolika i wkładam okulary. Gdy znów wracam do okna, Frida i żołnierz trzymają się za ręce i rozmawiają, odwrócenie do mnie plecami. Frida śmieje się i daje mu żartobliwego kuksańca. Gdybyś jeszcze nie spał w swoim namiocie, Allanie, to na pewno byś słyszał, jak on ją wabi w pułapkę! W chwilę później, ręka w rękę, idą w kierunku brzeziny. Znów się całują, po czym żołnierz znika między drzewami. Wygląda na to, że się umówili. Jestem co prawda w okularach, ale niestety, ciągle jeszcze widzę tylko jego plecy. Stoję tak, mając dziwne wrażenie, że skądś go znam. Ale może ponosi mnie wyobraźnia?

Tak czy inaczej, Frida wraca powoli do swojej balii, a ja z bijącym sercem kładę się na łóżku i wkrótce słyszę, że ona wchodzi do pokoju obok, to znaczy – niech ją Bóg ma w swojej opiece, do drugiego żołnierza!

Czterdzieści dwa lata temu popełniłem kardynalny błąd, nie opowiadając ani duńskiej, ani szwedzkiej policji o tym, co zobaczyłem. Ze wstydu, że podglądałem. I ze strachu – już wtedy – żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi.

Mam jednak na sumieniu błąd o wiele większy niż to przemilczenie, albowiem później lekkomyślnie zdecydowałem się opowiedzieć komuś tę historię. A mój wybór, najgorszy ze wszystkich możliwych, padł, jak się już domyśliłeś, na Holgera Landera. Na moje nieszczęście, póki będę żył.

Bo od tego momentu posypały się na mnie wszelkie możliwe nieszczęścia. Spotykały mnie szykany ze wszystkich stron: od Duńskiego Związku Szachowego, wywiadu i Ministerstwa Zdrowia.

Wiedziałem za dużo i opowiedziałem to najfatalniej wybranej osobie!

Kiedy wstałem parę godzin później, Frida siedziała sama przy śniadaniu. Była wyraźnie przygnębiona. Zaproponowałem jej partię szachów, żeby jakoś zapełnić czas przed zaćmieniem, ale nie chciała. A byliśmy przecież starymi przyjaciółmi; powinienem wtedy zapytać, czy aby wszystko u niej w porządku, ale Frida taki już miała styl, że u niej zawsze wszystko było w porządku, a ja uważałem, że nie wolno mi ranić wstydlivości, która jednocześnie chroni i ogranicza naszą małą szachową przyjaźń.

Tkwiałem też za bardzo w samym środku wydarzeń, żeby móc analizować ten oskrzydający atak, którego wynikiem miało być schwytanie Fridy w potrzask. Królowa, zaatakowana z dwóch stron, przez idealnie skoordynowane figury – widzisz, na szachownicy poradziłbym sobie z tą sytuacją. Ale człowiek z krwi i kości, zaatakowany przez oficerów zachodzących z flanki – to spowodowało, że byłem ledwo żywy z zagonienia i niezdecydowania.

W kilka godzin później Frida zniknęła, a ja nie zdążyłem jej opowiedzieć, co wiedziałem, i nigdy się z nią nie pożegnałem.

Allanie, przerywam, by przeczytać swój list. Domyślam się, że uznasz go za chaotyczny. Może zwariowany. Ja sam we wszystkim, co napisałem, widzę wyraźną i logiczną linię, choć domyślam się, że dla Ciebie wcale taka nie jest. Czasem mi się wydaje, że moje konflikty z wojskiem, lekarzami, Duńskim Związkiem Szachowym, a właściwie z całym światem, doprowadziły mnie do takiego stanu, iż przestałem już trafiać do ludzi. Ale mimo to wszystko, o czym Ci opowiedziałem, jest ważne i prawdziwe.

Gdybyś chciał się ze mną skontaktować, to, na Boga, korzystaj z podanego numeru skrytki pocztowej! W żadnym razie nie telefonuj ani nie przysyłaj faksów! I wybacz, że ten list nie ma podpisu – już od czterdziestu dwóch lat nie ośmieliłem się go złożyć pod żadnym dokumentem.

## IX

### Zimowa podróż

*Drogi Allanie,*

Dwadzieścia lat temu próbowałem zrobić to samo, co Ty. Próbowałem powrócić do tamtego lata 1954 roku, kiedy zniknęła Frida. Ale moja motywacja była inna: chciałem napisać powieść.

Kiedy w 1952 roku poznałem Fridę, miałem już wydany jeden tomik poezji. „Twarze w deszczu”. Były to wiersze o moich przeżyciach miłosnych, doznanych albo prawie doznanych. O spotkaniach, rozłąkach i ponownych spotkaniach; otulonych pogodą, uchwyconych w błysku letniej burzy, zabarwionych od nowa rozjarzonym neonem wielkiego miasta. W przeciwieństwie do mojego wielkiego idola, Mortena Nielsena, nie miałem, jeśli chodzi o karierę, tego ogromnego szczęścia, by zginąć w walce z wrogiem. A z tym, że Nielsen, faktycznie rzecz biorąc, zginął „tylko” od zabłąkanej kuli, nie mieliśmy wtedy większych problemów. On i jego dziewczyny spotykali się i rozstawali, i znów spotykali w godnym pozazdrosczenia historycznym prześwicie losu. Jakże ja mogłem znaleźć podobne światło w naszym szarym okresie powojennym? Kiedy spotkałem Fridę, myślałem, że dostałem odpowiedź na to pytanie. To była ta wspaniała poświata, która miała sprawić, że każdy wers uniósłby się niemal nad papierem.

Frida nie była banalnie próżna. To, że inspirowała poetę, który wydał swoje wiersze, nie było samo w sobie powodem, żeby uczynić ze mnie kochanka. Choć może jednak trochę jej pochlebiało, że noc mogła się przeobrazić w wiersz? Może. Przede wszystkim była jednak, w najlepszym tego słowa znaczeniu, ambitna. W stosunku do siebie i innych. Gorąco pragnęła, żeby i ona, i jej przyjaciele – i kochankowie – osiągnęli i przekraczali granice. Frida połykała książki. Prozę i poezję. Była też dobrym znawcą i surowym krytykiem, wyniesionym całkowicie ponad lękającą się konfliktów tolerancję. Ale kiedy miała czytać wiersze, w których nie mogła nie dostrzec siebie, wybierała raczej podziw dla zmyślenia niż dla samej poezji.

I tak nieszczerłość wkradła się do naszego związku. Plus, szczerze mówiąc, handel wymienny. Niezamierzone i okropnie nieporadne „coś za coś”. Śmiała się z uznaniem, kiedy widziała, jak w suchy letni wieczór wpisywałem pasującą akurat deszczową pogodę. Ale w jej śmiechu kryła się uparta ambicja, że jej nie zaskoczę; jeśli już, to przede wszystkim powinienem zaskakiwać samego siebie! Podobnie jak jej ojciec, który w tych latach świadomie przekraczał granice w duńskiej chirurgii płuc i serca (ona sama zresztą marzyła o przekraczaniu wszelkich granic, na które natknie się w swoim życiu), tak teraz ja powinienem był się porwać na ich przekroczenie w dziedzinie poezji. Miałem wyjść z cienia swoich idoli, tylko jak?

Moje pierwsze wiersze były najświeższe i najlepsze. Może Frida podświadomie podsuwała mi wciąż nowe tematy? Miłosne spotkania z posmakiem ryzyka. Z posmakiem zdrowego bólu i to nie zawsze tylko psychicznego. Spektakularne powody do zazdrości. Pojednania, które ścinały nas oboje z nóg. Omdlewająco błogie, upojne przekraczanie granic – poza tym wszystkim, w co w tych czasach mogła się zagłębić duńska poezja erotyczna.

Ale każdy pisany przeze mnie nowy wiersz był z jakiegoś powodu słabszy niż poprzedni.

I kiedy mocno zaciskałem oczy, już wtedy wyraźnie widziałem – choć nie chciałem – że mój talent ujawni się w dalekiej przyszłości w opiewaniu tego, co proste, banalne, bosko przewidywalne, w czym wszyscy (?) się rozpoznają.

Może i Frida mogła spoglądać w przyszłość. Kiedy wybraliśmy się pod Twoim przywództwem do Szwecji, oboje dotarliśmy już do kresu. Każdy nowy wiersz, w swej bolesnej bezradności był teraz dość wiarygodnym świadkiem naszego bliskiego zerwania. Mojego wyczerpania. I mojej tęsknoty, żeby nie musieć wciąż być lepszym i bardziej odkrywczym niż jestem.

Tak więc kiedy w Torsryd pojawił się niezaproszony rywal, spakowałem swoje rzeczy i spokojnie wyniosłem się z pokoju Fridy. Swoją niewyładowaną do dzisiaj gorycz spożytkuję do naszkicowania rywala: jurny żołdak z upodobaniem do zdań prostych. Mężczyzna, który całą swoją egzystencję oparł na jednym wydarzeniu, a mianowicie, że podczas wojny zlikwidował faceta, który nazywał się Asmussen, zamiast kogoś, kto nazywał się Rasmussen. A może na odwrót. On był tą historią. I zdaje się, ubzdurał sobie, że mógłby mi ją ofiarować (i wymienić na Fridę?, a nawet, że dzięki temu nada w końcu jakąś upragnioną aurę memu ubogiemu życiu.

Najprawdopodobniej wyrządzą mi krzywdę. Był z niego na pewno fajny gość. Ale dość o nim i o tej nieszczęsnej wycieczce.

Pewnego dnia, pod koniec 1954 roku, zebrałem wszystkie wiersze, które napisałem o Fridzie, oblałem je benzyną do zapalniczek – po czym zrezygnowałem z podpalenia. Po dziś dzień leżą gdzieś w blaszanym pudełku, ale co benzyna zrobiła z tym wyszukany, czarnym atramentem do kaligrafii, którego używałem wtedy do mojego parkera 51, tego nie wiem.

Schowałem pudełko i zabrałem się do prozy, która pozwoliłaby mi wyżyć. Historie z akcją i puentą, historie, które od razu mogły znaleźć nabywcę. Pisałem – już wyzwolony – zgodnie ze starymi regułami gry. Tyle i tyle słów, tyle i tyle uznanych środków wyrazu, być może szczypta mnie samego, ale absolutnie nigdy żadnego bolesnego grzebania się w duszy. A zresztą od czego ma się bogatą wyobraźnię? To, co najbardziej schematyczne, najłatwiej się też sprzedaje. A alarmujące terminy oddania utworu do druku stały się dla mnie koniecznym bodźcem.

Nim upłynęło dziesięć lat, zostałem płodnym producentem powieści, które często publikowano najpierw w czasopiśmie. Porzuciłem swoje nieciekawe nazwisko i zastąpiłem je szeregiem barwniejszych – w zależności od barwy historii. Ale zawsze zbyt się ceniłem, żeby zatrudniać murzynów. Moja fabryka literacka była fabryką jednego człowieka! Powieści o miłości, kryminały, powieści historyczne – wszystkim im daję, jak tylko potrafię najlepiej, ostateczne wykończenie, prawdziwie profesjonalny blichtr.

Mniej więcej co dziesięć lat dopada mnie pomysł napisania choćby jednej książki rzeczywiście od serca. W czasie jednego z takich ataków, jakieś osiem-dziewięć lat temu w zimie, odwiedziłem ojca Fridy i spenetrowałem Småland.

Emerytowanego profesora Holgera Landera znalazłem w domu opieki dla lekarzy w podeszłym wieku, nieopodal jeziora Bagsvaerd. Nadal jeszcze był przystojnym mężczyzną, tak jak przez całe życie, zadbanym i, wszystko na to wskazywało, sprawnym umysłowo, ale prawie zupełnie niewidomym. Gdy jednak kładł jedną dłoń na drugą, leżały tak spokojnie, że ciągle jeszcze miałyby się odwagę powierzyć im skalpel.

Usiadł plecami do okna i jeziora i nalał nam portwajnu, nie roniąc przy tym ani kropli. Kiedy siedziałem i szykowałem się do zadania mu przygotowanych pytań, powiedział, kierując na mnie swój prawie zgasty wzrok:

– Właściwie oczekiwałem pana wcześniej. Czy może jesteśmy na ty?

Po chwili uprzytomniłem sobie, że nie oczekiwał mnie na przykład godzinę wcześniej, ale raczej tydzień czy może nawet miesiąc. Dokończył, zanim zdążyłem sprostować jego pomyłkę:

– Ale w każdym razie znalazłem to, o co pan pytał.



Wyjaśniłem mu, kim jestem. Że to ja dzwoniłem dzień wcześniej. Podniosłem głos, bo trochę również nie dosłyszał. Przypomniałem mu, że w swoim czasie chodziłem z jego córką, i to właśnie dla tego...

– Tak, tak – wtrącił. – Pan chodził z Ullą.

– Fridą – sprostowałem.

– Ach, tak – powiedział. – Tego nie pamiętam. Zaczynam się obawiać, że rzeczywiście tracę pamięć.

Wyjaśniłem mu, że byłem tym młodym poetą, który był w domu przy Sundvaenget i latem 1954 roku pojechał z Fridą do Smålandu.

– Aha – rzekł w końcu Lander – teraz oczywiście przypominam sobie pana doskonale. – Zawahał się. – „Twarze w deszczu” – dodał. – Prawda?

– Tak, to ja.

– W takim razie to by znaczyło, że pan mnie tutaj odwiedza po raz pierwszy. Proszę mi wybaczyć, że pomyliłem pana z kimś innym. Kto... ale dość na ten temat. Wobec tego pan chyba wcale nie jest zainteresowany... – Przez chwilę wyglądało na to, że stracił wątek. W prawej, uniesionej do góry dłoni, trzymał kieliszek portwajnu. Pomagając sobie lewą ręką, pewnym ruchem odstawił go na stół. Za nim, za jego oknem, na oblodzonym jeziorze roilo się od łyżwiarzy – ...tymi starymi papierami – zakończył zdanie.

Drogi Allanie, muszę się streszczać. Rozmowa nie była zbyt długa. Zagadka nigdy nie została przecież rozwiązana, powiedział. Z początku liczył na to, że któregoś dnia znów zobaczy Fridę. Jej naprawdę mogło wpaść do głowy, by odejść, powiedział, kiedy sądziła, że coś już... jest wyczerpane. To nie było zmęczenie życiem, wprost przeciwnie – apetyt na życie. Już w wieku przedszkolnym zdarzyło się jej parę zaskakujących, całkiem beztrioskich ucieczek. W niewytłumaczalny sposób zniknęła kiedyś na całe popołudnie. Później na weekend. Bez urazy, ale może ją nudziliśmy?

Wybrała się więc autostopem przez Szwecję – a choćby i do samego kręgu polarnego – i może potknęła się o własny los? Nieuważny kierowca czy co tam jeszcze? *All right*, może coś gorszego. Szybki – miejmy nadzieję – cios Pana Boga. Ale cóż pomoże drążenie pytaniami, na które nigdy nie dostanie się odpowiedzi?

– Życie ją cieszyło – powiedział. – Myślę, że jej dziennik przyznałby mi rację. Frida i ja nigdy nie wtykaliśmy nosa w nie swoje sprawy; i nie uczyniłem tego nawet, kiedy jeszcze byłem w stanie czytać. I gdyby pan był tym, kim przez chwilę myślałem, że pan jest, to też miałbym zastrzeżenia. Zapewne powiedziałbym „nie”. Ale nie będę pana tym zamęczał. Odłożę te teczki na miejsce.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że położył między nami na stole kilka teczek, pięknie oprawionych w kwiecisty papier. Wziął je w ręce, podszedł do regału i wstawił na miejsce.

Wkrótce potem odprowadziłem go do wspólnej jadalni, gdzie miał pić swoją popołudniową kawę.

A w drodze do głównych schodów szybko wszedłem do jego pokoju i zwędziłem teczki.

Idąc z nimi do samochodu, przysłuchiwałem się, jak tafla jeziora od czasu do czasu pod beztrioskimi łyżwiarzami wydaje długie, głębokie i nieco śpiewne odgłosy – jakby ostrzeżenia.

Uwierz mi, że zabranie tych teczek to najbardziej bezwstydna rzecz, jaką popełniłem w życiu.

Lander już nigdy się nie odezwał, choć żył jeszcze przez wiele lat. Może nigdy mu ich nie brakowało?

Do dziś nie wiem, dla kogo je odszukał.

Tylko raz ukradkiem zajrzałem do nich. Dziennik za dziennikiem, zapisane pięknym, gęstym i drobnym pismem Fridy. Burzliwe zakochania i przyjaźnie. Gniew i szczęście, zachwyty, złorzeczenia, wiecznie powracające żądanie, żeby wszyscy – a zwłaszcza ona sama – realizowali się i przekraczali granice. Ty też, Allanie. Ty też.

Odłożyłem dzienniki na bok, ale ich nie wyrzuciłem. Tym razem nie skraplając melodramatycznie teczek benzyną. Muszą gdzieś być między moimi papierami, ale odnalezienie ich wymagałoby sporo czasu. *And what the hell?*

W ogóle nie wiem, dlaczego Ci to wszystko opowiadam. Jedno jest absolutnie pewne – „rzeczywistość” tych dzienników nie mogła stać się materiałem do mojej książki. Ból, choćby tylko przy ich przeglądaniu, stawał się zbyt wielki. Tak wielkie oczekiwania. Tak duże możliwości. Tak wolno gojące się rany, tak zaskorupiałe i popękane strupy. (Nawiasem mówiąc, nic z tej książki by nie wyszło. Napisałem „Śmierć w domu na pustkowiu”; to prawie czysta fantazja, zagadki i ich zaplanowane rozwiązania, ale coś mnie zmusiło do odłożenia tego właśnie jednego jedyne go rękopisu po postawieniu ostatniej kropki. Nie był ani lepszy, ani gorszy niż inne. Może przez chwilę myślałem, że będzie? Zamykam nawias!) Po tej bezwstydney, ukradkowej lekturze pojechałem, jak już wspomniałem, do Szwecji.

Zimowa podróż przez monotony, pokryty śniegiem Småland; samochodem, o wiele za szerokim na te drogi, który ponadto, jak w sennym koszmarze, miał kierownicę (został nabyty w Londynie) z niewłaściwej strony. Mapy, które się nie zgadzały, miasta, które zdawały się znikać. Czy istniało kiedykolwiek coś, co nazywało się Torsryd, że już nie wspomnę o Fricksbo? Jeździłem wokół kolistych, oblodzonych jezior, które swym doskonałym zarysem przywodziły na myśl uderzenie meteoru. W końcu, z uczuciem, że zaczyna mnie oślepić biel śniegu, ruszyłem w kierunku Jönköping, gdzie przenocowałem i gdzie miałem sen – pełen śniegu, doskonałych kręgów i doskonałych rozwiązań zagadki. To wszystko okazało się naturalnie nonsensem w chwili, kiedy się nazajutrz przebudziłem.

Dokument poświadczający moje powiązania z konsulatem szwedzkim załatwił sprawę na posterunku policji; bez większych biurokratycznych trudności udostępniono mi teczkę z aktami sprawy. Sprawa Fridy Lander nie rozrosła się ani o linijkę od sierpnia 1954 roku! Parę zdań w tych starych szpargałach ktoś podkreślił teraz już wypłowiiałym, czerwonym atramentem: zwrócono uwagę, że tej samej doby co Frida z domku letniskowego pewnej duńskiej rodziny zniknęły również dwa bardzo masywne ciężarki. Notatka na marginesie: „Starannie przemyślane przygotowania do samobójstwa?” Siedziałem i myślałem: hm...

Wracając do Jönköping, udało mi się nagle odnaleźć drogę prowadzącą do Torsryd i wąską, wysypaną żwirzem ścieżkę do Fricksbo.

Samochód grzązł, więc ostatni kawałek drogi przeszedłem w gęstej zadymce śnieżnej.

Tabliczka „Na sprzedaż” była przewrócona. Dom jeszcze tam stał, ale ktoś, zanim spadł śnieg, pośpiesznie załadował do kontenera wszystko, co w chacie było. Zeskrobałem śnieg z wierzchu ładunku. A nuż ciężarki jednak tu leżą, pomyślałem. Albo coś innego, co definitywnie otworzy albo zamknie tę starą sprawę.

Takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach. Na przykład w moich. Myślę, że po bogatych rodzicach Barbary mieszkała tam przez wiele lat szwedzka rodzina; pełno tu było szwedzkiej tandety z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ale właśnie gdy już chciałem zrezygnować z dokopania się do naszej własnej warstwy archeologicznej, znalazłem przynajmniej coś, co ma wyraźne powiązanie z listem od Ciebie: starą płytę gramofonową – z tych, które tak łatwo pękają. Ta jednak była cała, w okładce z brązowej tektury – „The Tennessee Waliz”.

Zesztywniałymi z zimna palcami uratowałem ją przed unicestwieniem.

Leży tu, w moim gabinecie w Londynie; zapakuję ją tak starannie, jak potrafię, i wyślę Ci jako osobną przesyłkę. Serdeczne po zdrowienia od

*Jona Hastrupa*

alias (tu następuje długi rząd innych, i bardziej efektownych nazwisk powieściopisarza)

## X

### Gdzie miałeś oczy?

*Drogi Allanie,*

Kiedy czytam Twój list, zadaję sobie pytanie, czy Ty mnie w ogóle pamiętasz. Piszesz moje imię niewłaściwie. (Nazywam się Alis – nie Alice). Świetnie sobie poradziłeś z odszukaniem mojego obecnego nazwiska i aktualnego adresu. Ale czy mnie pamiętasz?

Nie ma mnie na liście ról rozpisanych dla tej garstki osób, którą wydobyłeś z tamtego lata, kiedy to pojechaliśmy oglądać zaćmienie słońca. I kiedy zniknęła Frida Lander. Według Ciebie, byliśmy układem słonecznym ze Słońcem, planetami i księżycami. Sam byłeś tylko małym księżycem, piszesz.

Ale jeśli księżycem byłeś Ty, to czym, u diabła, byłam ja? O ile wiem, księżyce nie mają księżyców. W Twoim układzie planetarnym nie było więc miejsca dla kogoś takiego jak ja, bo ja byłam przecież księżycem księżycyca.

Pojechałam do Szwecji, bo pojechałeś do Szwecji Ty.

Czyś to kiedykolwiek pojął?

Pozwól jednak, że wrócę do lat, kiedy znalazłam się w waszym kręgu. Znałam Twojego brata i Ciebie, znałam siostry Ullę i Fridę Lander. Mieszkałam w Vangede; nie była to może najelegantsza dzielnica, ale ciągle jeszcze w granicach komuny Gentofte i tylko dwadzieścia minut rowerem od was. Byłam absolwentką gimnazjum z 1952 roku i od razu zaczęłam studiować literaturę duńską na uniwersytecie. Przeskok od szkolnej dyscypliny do panującej na studiach swobody był z jakiegoś powodu większy, niż sobie wyobrażałam, i nie mogłam sobie z nim poradzić. To uczenie się na własną rękę bez z góry określonego celu! Dotąd zawsze żyłam według schematu. Potem nastąpił rozwód moich rodziców. Może to tylko wymówka, że wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. Po dwóch latach podeszłam do egzaminu ze staroislandzkiego i z hukiem oblałam.

Odtąd więcej czasu spędzałam w małych knajpkach w dzielnicy uniwersyteckiej niż na uczelni. Tu natknęłam się na wielu pijaczków, a jednym z najbardziej czarujących był Twój brat. To przez niego Cię poznałam, ale minęło trochę czasu, zanim zwróciłam na Ciebie uwagę i zakochałam się w Tobie.



Semestry lat 1953-1954 pamiętam jak przez mgłę. Diabeł we mnie wstąpił, i nie jest to chyba tylko i wyłącznie wina okoliczności, lecz z pewnością także jakiś defekt organizmu, a może chemia? W każdym razie z czasów, gdy byłam zupełnie małą, pamiętam lekarstwo na kaszel, które niekiedy mama dawała mi, zanim usnęłam. Byłam nim odurzona. Leżąc bezsennie, czekałam, aż matka i ojciec pójdą spać, po czym wymykałam się do łazienki, żeby pociągnąć jeszcze kilka łyków syropu. Po diabła usypiać, kiedy można było leżeć bezsennie, w odurzeniu, i czuć się wspaniale! Ktoś jednak usunął na wpół opróżnioną butelkę z szafki na lekarstwa (chyba ojciec – pomyśleć, że mógł przecież ze mną na ten temat po prostu porozmawiać, zamiast dokonywać tej potajemnej operacji) i upłynęły całe lata, zanim się zorientowałam, że istnieje pewien sposób, który sprawia, iż człowiek czuje się lepiej niż naprawdę.

Staczenie się. W towarzystwie Twojego brata również wielu innych studentów zagubiło się w oparach alkoholu. Byli zresztą także i tacy, którzy nie stoczyli się naprawdę, lecz po prostu raz czy dwa razy w tygodniu wybierali ucieczkę od zięjącej nudy tamtych czasów i monotonii studiów (oraz zbyt łatwo przewidywalnego życia, które ich czekało). Ale tacy jak Twój brat i ja byli rzeczywiście zagubieni. My uciekaliśmy każdego wieczoru. Każdej nocy.

Kiedy Torsten się upijał, z początku był bardzo czuły i zabawny, później wzbudzał strach. Chciał iść ze mną do łóżka, w porządku, czemu nie, ale nawet kiedy byłam niemal równie pijana jak on, uważałam, że powinno się to odbyć w ładnym stylu: spacer do domu, gra wstępna, jakieś wzajemne ciepło i serdeczność, które trwałyby pewien czas. Tak jednak, niestety, z Torstenem bywało rzadko.

Teraz on już nie żyje i może nie powinnam Ci o tym pisać, przecież można o nim powiedzieć wiele dobrego; zresztą przecież skończyło się na tym, że wyszedł na dobrą drogę. Ale jego sposób załatwiania spraw łóżkowych – przynajmniej ze mną – najbardziej przypominał gwałt. Jakby tak naprawdę dopiero podniecał Torstena opór. Więc może gdybym się nie opierała, zrezygnowałby w pół drogi? Ale ja się opierałam, a on brał mnie mniej lub bardziej gwałtem, był przecież silny, staczaliśmy prawdziwą bójkę, i w jakimś momencie w pijanym widzie myślałam: a niech to szlag, przecież sama chciałam z nim iść do łóżka, pozwoliłam mu, tyle że wolałabym, żeby to robił w trochę inny sposób. Chociaż byłam tak samo pijana jak on, potrzebowałam odrobiny czułości. I dostawałam ją, ale dopiero później. Bo miał wyrzuty sumienia. Mnie jednak nie były potrzebne wyrzuty sumienia. Ale droga do czułości zostawała ugotowana. I usypialiśmy objęci, ja często posiniaczona, również w miejscach, które trudno było ukryć.

A co by się ze mną stało, gdybym uparcie i na serio stawiała opór przez cały czas? Nie wiem. Myślałam sobie: taki po prostu jest. I Ty też. Na razie. Bo wiedziałam, że w którymś momencie będę musiała swoje życie zupełnie zmienić. Ale wciąż to odkładałam.

Naturalnie powinnam była porozmawiać z nim o tym, kiedy oboje byliśmy trzeźwi. Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Dziś mam do siebie o to pretensję.

I spotkałam Ciebie.

Łagodnego, młodszego brata Torstena. Młodszego ode mnie o dwa lata i o lata świetlne swojej niewinności. Oderwanego od rzeczywistości, niedoświadczonego, zbzikowanego na punkcie astronomii. To właśnie ten Twój entuzjazm zawrócił mi w głowie. Zdolność do entuzjazmowania się.

Pojawiłeś się pewnej nocy, u was w domu, kiedy Twój brat usnął na podłodze w kuchni. Siedziałam obok Torstena i piłam kawę. Ty usadowiłeś się na kuchennym krześle i zacząłeś opowiadać o jakichś wykładach wieczorowych na uniwersytecie, na które chodzisz. Byłeś, zdaje się, jeszcze w gimnazjum. Słynny duński astronom (czy nie nazywał się Bengt Strömgren?) zabierał tej zimy, w każdy poniedziałek, małą grupkę ciekawskich Duńczyków w podróż w przestworza. Odbywało się to w audytorium pachnącym zimową odzieżą i pastą do podłogi. Ale nie w astronomii tak się zadurzyłam, nie w Strömgrenie. Zadurzyłam się w Tobie. Z perspektywy lat muszę chyba powiedzieć, że na początku zakochałam się w Twojej niewinności. Później była to nie tylko Twoja niewinność, później naprawdę Ty cały. Moja pierwsza miłość.

Czyś to kiedykolwiek pojął? Nigdy Ci tego nie powiedziałam, prawda? Chyba nie! Jak dziwacznie zamkniętymi w sobie i ostrożnymi ludźmi byliśmy wtedy, bez mała pół wieku temu! Ja oczywiście też, przez rok bierna ofiara gwałtu. Ale być może to właśnie zamknęło mi usta. Ty chyba musiałeś wiedzieć coś o tym. Twój brat nie mógł przecież zupełnie ukryć przed Tobą, że od czasu do czasu odbija mu szajba w sprawach z dziewczynami.

W każdy poniedziałek pedałowaliśmy z Vangede do Ordrup i razem jechaliśmy do Nerreportu. A po wycieczce w przestworza wracaliśmy do domu innym pociągiem. Nie przepuściłam ani jednego poniedziałku. Szłam z miłym poczuciem bezpieczeństwa razem z Tobą, a moje uczucie po prostu rosło i rosło. Ty nic nie rozumiałeś, ja nic nie powiedziałam.

Kac i wyrzuty sumienia po sobotniej nocy ulatniały się. I czasem, kiedy nasze drogi się rozchodziły, pamiętam, że ścisłałam Cię lekko na pożegnanie i myślałam, że jeszcze mamy czas, że jeszcze zdążymy.

Że to widocznie musi dojrzewać równie wolno, jak szybko i szaleńczo toczyło się z Torstenem.

Ale wy, zdaje się, obaj przebywaliście gdzie indziej. Byliście księżycami. Krążyliście wokół Fridy. Twój brat przyhamował trochę z piciem, zerwał ze mną i związał się na stałe z Ullą. W ten sposób zbliżył się o krok do Fridy.

A co zrobiłeś Ty, mały Allanie? W poniedziałki podróżowałeś ze mną wśród przestworzy. Ale przez resztę tygodnia, jak sądzę, robiłeś, co mogłeś, żeby być tak blisko brata i Ulli, jak to tylko możliwe. Bo w ten sposób i Ty mogłeś być bliżej cudownej Fridy. I tak to właściwie sam opisujesz w swoim liście. Potem zaaranżowałeś wycieczkę do Szwecji i dzięki memu dużemu darowi przekonywania udało mi się pojechać z wami. Alis – nie Alice. Ale powiedz, Allan, gdzie Ty miałeś oczy? Zwróciłeś je na słońce i na niebo, które cały czas groziło, że je zasłoni. I na Fridę. Jak łatwo możesz wywnioskować z moich słów, ciągle jeszcze jestem zazdrosna o wszystko, co się z nią wiąże.

Kiedy gwiazda zniknęła, zniknęliście z mojego życia i wy – Ty i Twój brat. Z mojego nowego, mozolnie odbudowywanego trzeźwego życia. Które wciąż jeszcze systematycznie buduję. (Antabus. Dwa dobre małżeństwa, trojka udanych dzieci. Stała posada bibliotekarki od bez mała trzydziestu lat. Jak to jednak dobrze mieć obowiązki, odpowiedzialność i pracę).

A więc z powrotem do mojej beznadziejnej, nieodwzajemnionej miłości. Bo ja nic z tego nie rozumiem.

Gdzie miałeś oczy? Gdzie miałam ja, już Ci zdradziłam. Spoczywały na Tobie. A teraz opowiem Ci o czymś, co widziałam.

Wiesz, podczas tych trzech dni w Szwecji byłeś dwiema zupełnie różnymi osobami.

Po przyjeździe byłeś tym, którego znałam i w którym się zakochałam. Byłeś tym, który dumnie okopcał i rozdawał szkiełka. Rozbiłeś swój mały namiot przed domem i ten namiot stał się sztabem generalnym całego przedsięwzięcia. Z niego miałeś dowodzić akcją następnego dnia.

Wypakowaliśmy alkohol, który kupiliśmy w sklepie wolnoślowym na promie. Wódkę, o ile sobie przypominam. Myśl o zapachu bijącym z dopiero co odkręconej butelki ciągle jeszcze potrafi mnie poruszyć! No dobrze, z kieliszkiem w ręku idę za Tobą i tłumaczę, że w domu jest dość miejsca do spania. Obudź się! Posłuchaj, co mówię! Ale Ty nie słyszałeś nic. W Twoim namiocie świeciło się, kiedy inni już szykowali się do snu. Przeszłam obok małej grupki, która ciągle jeszcze była przed domem, raz po raz puszczając walca „Tennessee” na gramofonie. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę przy namiocie, już nie pamiętam jaki wymyśliłam pretekst, chyba chciałam jeszcze raz zwrócić Twoją uwagę na to, że w domu są wolne miejsca do spania. Między innymi u mnie.

Kiedy rozmawialiśmy, Twój wzrok ciągle skierowany był na niebo i chmury.

Takim cię zapamiętałam tamtego wieczoru. A następnego ranka byłeś zupełnie innym człowiekiem. Nie chcesz się do tego przyznać w swoim liście, ale ja wiem, że straciłeś zainteresowanie tym, co się miało wydarzyć. Nagle coś innego stało się dla Ciebie ważniejsze niż zaćmienie.

Wiem, że to prawda.

Ale nie sądzę, żeby inni prócz mnie zwrócili na to uwagę. Nie zerkałeś już na niebo, ale na skraj lasu. Jak gdybyś oczekiwał dodatkowego gościa tuż przed zaćmieniem.

Nikt inny jednak już się nie przyłączył. Chmury się rozwiały, przyszło zaćmienie, Ty wzięłeś się w garść i w tych decydujących minutach byłeś naszym przewodnikiem – stałeś i objaśniałeś z powagą całe zjawisko. Ale jednocześnie byłeś nieobecny, kompletnie nie obecny, i ja to widziałam, bo moje oczy spoczywały na Tobie. I zobaczyłam, że się boisz czegoś lub kogoś, kto – jakby to powiedzieć – mógłby zaćmić zaćmienie.

Czy nie tak, Allanie?

Do dziś nie jestem pewna. To mogło być coś, co sobie ubzdurałam. Źle rozumiałam. Ale nie. W każdym razie nadal nie spuszczałam Cię z oczu, także po zaćmieniu. Trzymałam się blisko Ciebie. Również i wtedy, kiedy zaczęło do nas docierać, że Frida zniknęła i że musimy ją odnaleźć, albo wezwać pomoc i wszcząć poszukiwania.

Cały czas byłam blisko Ciebie. Nie spuszczałam Cię z oczu, próbując zrozumieć, co, do cholery, tak Cię zupełnie odmieniło tej nocy przed zaćmieniem. I co nadal w Tobie tkwiło w ciągu dnia.

Przybyli miejscowi policjanci. Opowiedzieliśmy im o Fridzie, pochodzili dookoła, porozglądali się, jeden z nich notował coś w bloczku.

I odjechali.

Ty zwinąłeś namiot, spakowałeś go i położyłeś obok swojego roweru. Poszedłeś zbierać okopcone szkiełka. My usiedliśmy wokół stołu z gramofonem, ktoś z nas na nowo zaczął dobierać się do przywiezionego alkoholu.

Ja siedziałam z pełnym kieliszkiem wódki w ręku. Ale nie piłam.

A Ty nie usiadłeś przy stole. Kręciłeś się trochę. Potem wszedłeś do pokoju.

Po drodze obejrzałeś się jeszcze raz czy dwa.

Dla kogoś, kto Cię obserwował, było zupełnie oczywiste, że zamierzasz zrobić coś, czego my mieliśmy nie widzieć.

Siedziałam odwrócona tyłem, ale obejrzawszy się, pojęłam Twoją czujność. Nasze oczy jednak się nie spotkały. Wyjęłam więc z torebki lusterko, ustawiłam je odpowiednio i śledziłam Twoje ruchy w lustrzanym odbiciu. Działałeś szybko. Stanąłeś przy zegarze z masywnymi ciężarkami. Jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Potem zdjąłeś ciężarki z łańcuchów. Do każdej kieszeni wsunąłeś ciężarek. I wyszedłeś na dwór. Twoja cienka letnia marynarka dziwnie na Tobie wisiała, ciągnęła się w ramionach. Przycisnąłeś łokcie do ciała i uniosłeś trochę poły marynarki. Znów chwilę się pokręciłeś, nie podchodząc do nas, po czym przeszedłeś teren na ukos. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek inny prócz mnie zwrócił wówczas na Ciebie uwagę. I ciesz się z tego.

Poszedłeś w kierunku studni. Na moment zaprzętnęło moją uwagę coś innego (ale słyszałam, jak chwyciłeś skrzypiącą pompę). Jakiś samochód zbliżył się i wjechał na polanę, to miejscowa policja wróciła, żeby zadać kilka dodatkowych pytań. Byłam nieuważna najwyżej pół minuty. Pamiętam, że gdy policjanci podchodzili do nas, a my próbowaliśmy pochować butelki, usłyszałam, jak pompujesz. Najpierw powietrze, potem wodę. A między kolejnymi skrzypnięciami pompy rozległy się dwa mocne pluśnięcia. W chwilę później podszedłeś do policjantów i do nas z pełnym kubłem wody. Twoja marynarka znów leżała normalnie.

Tyle widziałam, Allanie. I nigdy nie potrafiłam z Tobą o tym porozmawiać. Nigdy też nie rozmawiałam na ten temat z innymi, nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Ale właśnie wtedy, z bliżej nie określonego powodu, skończyło się moje marzenie, że kiedykolwiek zwrócisz na mnie uwagę. A więc wiesz już, co zachowałam dla siebie przez czterdzieści dwa lata. To mój wkład w rozwiązanie zagadki, ale czy skorzystasz z niego? Czy zechcesz to zrobić? Serdeczne pozdrowienia

*Twoja nie Alice – lecz Alis*



# XI

## Dwunasty gość

*Drogi/droga (miejsce na imię konkretnego odbiorcy)*

Szkic listu. Niewysłanego.

Parę tygodni temu wysłałem do każdego/każdej z was list. Prosiłem, żebyście rzucili światło na to, co właściwie zdarzyło się w Szwecji w czerwcu 1954 roku, kiedy to razem oglądaliśmy zaćmienie słońca i kiedy jedno z nas, Frida Lander, przepadła bez śladu, żeby nigdy więcej się nie pojawić – żywa czy martwa.

W ciągu tych kilku tygodni dostałem (ku swojemu zaskoczeniu) listy od was wszystkich. Załączam je jako kopie, mając nadzieję, że nie naruszam w ten sposób tego, co moglibyście uznać za tajemnicę korespondencji. Otrzymałem w sumie dziewięć listów. Dołączcie do nich mój własny, a będziemy mieli dziesięć relacji o tych trzech dniach w Szwecji. Do Fridy, z wiadomej przyczyny, nie mogłem wysłać listu. Tak więc mamy jedenastu uczestników wycieczki.

Ale czy nie było nas dwanaścioro?

W liście, który wysłałem do was wszystkich, napisałem: „Przebywało nas w Fricksbo w sumie dwanaście osób”. Tak to pamiętam. Ale już kiedy wkładałem listy do kopert, zorientowałem się, że musiałem źle policzyć. Wysłałem tylko dziewięć listów, bo tyle miałem adresów. Więcej uczestników wycieczki, żyjących do chwili obecnej, nie przychodziło mi na myśl. Być może powinienem poprawić w liście „dwanaścioro” na „jedenaścioro”. Ale zostawiłem ten błąd. Pewnie w nadziei, że odpowiedź kogoś z was odświeży moją pamięć, że ktoś wymieni mi dwunastego uczestnika wycieczki.

Nikt z was nie zaprotestował przeciw mojemu (podświadomemu?) rachowaniu. Ale wiele z waszych listów przybliżyło jednak w pewnej mierze tożsamość dwunastego gościa.

Carola przysłała mi szereg zdjęć, załączam fotokopię jednego z nich. Zostało ono zrobione – wszystko na to wskazuje – aparatem z samowyzwalaczem – jest bowiem na fotografii i ona. Zdjęcie ukazuje, jak sami widzicie, jedenaście osób. Włącznie z Fridą, która przygotowuje się do obserwacji zaćmienia.

A więc było nas tylko jedenaścioro? No to problem z głowy.

Tak. A może jednak nie? Jak mam kontynuować? W jakiej kolejności zaprezentować wam swoje wątpliwości? I czy w ogóle to robić?

Minęły przecież czterdzieści dwa lata. Gdybym kilka tygodni temu nie poruszył tej sprawy i nie zadał wam pytania o tamte dni, zagadka zniknięcia Fridy umarłaby razem z nami. Wszyscy mamy już za sobą większą część życia. I chyba tę, która nam jeszcze została, powinniśmy poświęcić na dokończenie tej historii. Ujrzeć ją jasno i wyraźnie.

Jasność – z tą myślą pisałem list. Ale zawiera on jakąś zasadniczą niejasność – i wasze odpowiedzi jeszcze tę niejasność potęgują.

A może właśnie zupełnie rozwiewają? Kiedy będziecie czytać te dziewięć listów (w kolejności, w jakiej je otrzymałem i którą zaznaczyłem), szybko zauważycie bardzo prostą przyczynę, dla której jestem aż tak zaniepokojony. Carola sfotografowała zegar w pokoju we Fricksbo i z niepodważalną logiką udowodniła, że ktoś usunął z niego między jedną a drugą wizytą miejscowych policjantów dwa masywne ciężarki.

Te masywne ciężarki w zupełności by wystarczyły, żeby trup poszedł na dno jeziora. Frida ich nie zabrała, bo zniknęły już po zniknięciu samej Fridy. Więc kto je wziął? Ktoś, kto chciał, żeby ciało zmarłego człowieka poszło na dno? To znaczy morderca?

Tak, być może. Nie musimy jednak zastanawiać się nad tym, kto usunął ciężarki.

Bo widziała to Alis, jak pisze w swoim liście. Według niej, ja je usunąłem.

I to jest prawda. Może wiele da się wymazać z pamięci, ale tego nie wymazałem nigdy. To ja usunąłem ciężarki i – jak Alis słusznie zauważyła – wrzuciłem je do studni. Przypuszczalnie jeszcze tam leżą – choć wyobrażam sobie, że studnię zasypano wieki temu.

A więc to ja zamordowałem Fridę?

Nie. Ale teraz na mnie spoczywa ciężar udowodnienia tego.

(Jeżeli w ogóle kiedykolwiek zdecyduję się wysłać wam ten list. Jeśli nie, winien jestem wyjaśnienie chyba tylko Alis. A ona wcale o nie nie prosi).

Jakoś się zupełnie w tym liście pogubiłem. I nie bardzo wiem, jak powrócić do właściwego toku pisania. To kolejność sprawia mi trudności. Może powinienem zacząć od wtajemniczenia was w myśli, które tego ranka po zaćmieniu przelatywały mi przez głowę? I które doprowadziły do tego, że wyrzuciłem ciężarki zegara?

Albo może powinienem wziąć wasze listy, każdy z osobna, w kolejności, w jakiej je otrzymałem, i przeczytać razem z wami? Uwypuklić strzępki wzoru, który już się układa i który w sumie wydaje mi się tak kompletny, że nawet dziś mogę stwierdzić, iż istniał ważny (a nawet szlachetny, choć niemoralny) powód, dla którego wyrzuciłem ciężarki.

Mógłbym właściwie zacząć od sytuacji sprzed ośmiu lat. Tak, od niej spróbuję zacząć.

Mój brat, Torsten, był umierający. Odwiedzałem go w szpitalu.

Miał coraz większe problemy z mówieniem, widziałem, że to ostatnia szansa, żeby zapytać go o to, o co chciałem go zapytać od czasu naszej młodości. Pamiętasz zaćmienie słońca w 1954 roku? – spytałem. To wielkie, całkowite zaćmienie słońca? On pokiwał głową. W Szwecji, kontynuowałem. Znow kiwnął głową. Ale ciebie przecież z nami nie było, byłeś na Bornholmie. Torsten zaczął być niespokojny. A przecież na Bornholmie, ciągnąłem, zaćmienie nie było całkowite.

Potrząsnął głową.

Widziałeś to całkowite zaćmienie? – spytałem. On znow kiwnął głową. To całkowite zaćmienie, czarną noc, koronę, protuberancje? Jesteś pewien? – naciskałem. Tak, pewien. Ale przecież ty byłeś na manewrach wojskowych, przecież byłeś w rezerwie i wezwali Cię do koszar w Almegaard, odbywały się manewry na Bałtyku, nie mogłeś, do cholery, być równocześnie w Szwecji!

Mój brat z ogromną trudnością otworzył usta i wyteńczył struny głosowe.

A jednak byłem, powiedział.

Leżał i szukał słów, musiały być starannie dobrane, bo nie był w stanie ułożyć długiego zdania. Ze zmęczenia zamykały mu się oczy. Ale kolosalną siłą woli przytrzymał moje spojrzenie. Byłem tam, powiedział. I jeszcze trzy ostatnie słowa, które od niego usłyszałem:

Nie pomyliłeś się. Następnego dnia Torsten zmarł.

„Nie pomyliłeś się”. Z tymi trzema słowami żyję od ośmiu lat. To one skłoniły mnie do napisania do was listu o wycieczce. Czy zrozumiałem te trzy słowa? Czy mogliście mi pomóc odnaleźć w nich inny sens, sens, dzięki któremu łatwiej byłoby mi żyć? Czy byliście w stanie zaprzeczyć temu, co zdawało się potwierdzeniem moich najgorszych przeczuć?

Nie, wręcz przeciwnie. Wasze listy nie zawierają żadnych dowodów, ale poszlaki są w sumie wystarczająco jasne.

Ręce tak mi się trzęsą, że ledwie trafiam w klawisze. Oczy mi łzawią, wyłączam monitor; próbuję doznać nagłego objawienia, wodząc teleskopem po niebie. Przewidywalne konstelacje. Kto wie, może i niezapowiedziana kometa. Tyle że i ona jest posłuszna prawom przyrody i logiki. Znów siadam przy monitorze. Może najgorsze mam już poza sobą. Za chwilę będę w stanie zakończyć mój list do was. Włączam komputer. Nie ma żadnej niezapowiedzianej komety. Prócz tej, o której jedno z was wspomina w swoim liście. Dziwnie kluczowe słowo. Jeszcze do niego wrócę, teraz zabieram się do fragmentów waszych listów i układam je, jeden po drugim, we wzór.

Mój własny list. Jak już wspomniałem – źle policzyłem. Jest jedenaście osób, które pojechały do Szwecji, ale koniecznie chcę, żeby było dwanaście. Gdy przeglądałem koperty i zauważyłem błąd – nie poprawiłem go. Czy miałem nadzieję, że wy go wykryjecie?

Chciałem, żeby mnie zdemaskowano? A może właśnie uniewinniono? Wspomniałem, że Torsten nie żyje. Dla porządku, ale przecież jego śmierć nie ma nic wspólnego z całą sprawą. Był wówczas na Bornholmie, na manewrach na Bałtyku, napisałem. To nie ulega wątpliwości. On nie ma nic wspólnego z moim pytaniem do was!

Ale już list Ulli rozproszył iluzje. Ulla chodziła z moim bratem. Pisze o Torstenie: „Czyż nie pojechał z nami do Szwecji? Nie pamiętam”. Banalne zapomnienie, ale odnotowane w liście. Czterdzieści dwa lata to długi czas. Ullę na pewno zawodzi pamięć. Torstena nie ma z nami na portrecie Caroli. Nie ma go także na liście osób, które przesłuchiwała policja w Smålandzie. Może jednak nie bez przyczyny Torsten pojawił się we wspomnieniach Ulli? Był jej chłopakiem.

Nie mógł przebywać jednocześnie w dwóch miejscach. A jednak pojawił się po czterdziestu dwu latach, bo Ulla (choć mimoходом) zadała swoje pytanie. Dlaczego?

Może istotnie widziała go przez moment? W bezsennej porannej? I przypominała to sobie teraz, po czterdziestu dwu latach? Gdyby moja własna pamięć nie robiła mi takich psikusów, nie uwierzyłbym, że to możliwe. I może wcale nie jest.

Niezapowiedziana kometa. Ida, która zakochała się we Fridzie, pisze o zwierzeniach Fridy w noc przed zaćmieniem: „Teraz naprawdę spotkałam miłość” – powiedziała Frida do Idy. I Ida kontynuuje: „Nie sądzę, żeby chodziło o kogoś, kto był z nami w Smålandzie. Nie o żadną – jak to nazywasz – planetę układu słonecznego. A więc o niezapowiedzianą kometa”.

Ido! To przecież było moją nadzieją przez te wszystkie lata! Niezapowiedziana kometa! Tyle że wzór, który się układa, jest nieubłągany. Niezapowiedziana, tak. Zdecydowanie nieoczekiwany gość. Ale nie kometa, wprost przeciwnie. To wyrachowana planeta, krążąca w układzie wokół Fridy.

W swoim „psychiatrycznym profilu” Claus Jacobi konstatuje, że Frida miała skłonności maniakalno-depresyjne. To przypuszczalnie prawda. Pisze, że została umieszczona w Rigshospitalet, ale nikt nie mógł o tym wiedzieć. Dlatego wczesnym latem 1953 roku – na rok przed zaćmieniem – nazywało się to, że była na „wyspie Samsø”. To jednak nieprawda. Claus widział ją w szpitalnym ubraniu na oddziale psychiatrycznym w Rigshospitalet. Następnym razem Claus sądził, że wyjazd na wyspę ma znów ukryć pobyt na oddziale, ale faktycznie rzecz biorąc, nie widział Fridy w szpitalu. A jednak był przekonany, że znów kłamie się na jej temat, że teraz nazywa się to – Claus jeszcze raz używa cudzysłowu, ale ja tego nie zrobię – że jest na Bornholmie.

Bornholm. Wielkanoc 1954 roku.

W swoim liście piszę o moim bracie Torstenie, że „był podporucznikiem rezerwy i wzywano go na Bornholm na Wielkanoc, latem i jesienią”.

Tak, myślę błyskawicznie, ona mogła tam pojechać, żeby spotkać się z moim bratem (który był głęboko zakochany we Fridzie, a z Ullą chodził tylko po to, żeby się do niej zbliżyć). Ale na Bornholmie był także inny żołnierz. Lasse, zawodowy żołnierz, niegdyś uczestnik ruchu oporu i, jak sam o sobie pisze, morderca.

List Lassego przesądza sprawę.

Żeby ją już zakończyć, spróbuję ograniczyć się do zebrania cytatów z waszych listów.

Lasse: „Nie widziałem jej od Wielkanocy, ale tak się w niej zadurzyłem, że wcale nie chciało mi się przez ten czas kochać z innymi dziewczynami”. To może być naturalnie kłamstwo, ale czemu miał by kłamać? Inne zdanie z listu Lassego kompletnie zagmatwało sprawę. Albo ją rozwikłało.

„Od dwudziestego szóstego czerwca, przez dziesięć dni, miały się odbywać manewry na Bałtyku z koszarami w Almegaard jako stanowiskiem dowodzenia” pisze Lasse. I dalej: „Te manewry zostały jednak z czterdziestoosiogodzinnym wyprzedzeniem odłożone do września”.

To dlatego Lasse zdążył przyjechać do Smålandu.

A więc chyba mój brat też mógł? Lasse miał motocykl, nie zdążył wprawdzie na prom z Rønne do Simrishamn, ale przyjechał przez Kopenhagę. A co zrobił mój brat? Czy też udało mu się przyjechać? (Może, jako podporucznik rezerwy, później wyruszył z koszar, ale złapał następny prom do Simrishamn?) To znaczy przyjechał później? Nie po południu, ale późno w nocy? Może we wczesnych godzinach rannych?

Lasse pisze, że Frida była posiniaczona, że musiała sypiać z mężczyzną, który ją bił. Przed Wielkanocą.



Te miłe słowa, w których wszyscy opisujecie mojego brata, nie pokrywają się z tym, co każde z was, z osobna pamięta. Był hultajem, łagodnie mówiąc. Barbara napisała dziwne zdanie: „Nigdy nic od niego nie dostałam prócz psychicznego lania”. A przedtem: „Pojawiał się następnego dnia z pamięcią dziurawą jak sito i poobijany wyrzutami sumienia”.

Że Torsten brał się do bicia, kiedy był pijany, nie jest dla mnie oczywiście żadną nowością. Ja sam od niego obrywałem, a potem jeszcze musiałem pomagać mu odświeżyć pamięć. Kochałem go bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale tak było.

Że Torsten bił też dziewczyny, z którymi chodził do łóżka, jest dla mnie nowością – a jednak już wtedy się tego domyślałem. Całkowitą pewność uzyskałem jednak dopiero po liście Alis: jest w nim przecież mowa o przemocy między dwojgiem nietrzeźwych ludzi, choć Alis wzbrania się przed użyciem tego słowa. Gwałt. To mnie nie zaskoczyło.

Nie mam już siły na więcej cytatów o chlaniu, biciu i sińcach, wspomnianie o tym prawie wszyscy. A jednak ludzie kochali Torstena. Był nie tylko czarujący. Był dobrym człowiekiem. Ludzie go kochali. Czy nie można sobie wyobrazić, że kochała go również Frida?

Cytat z listu Idy: „Teraz Frida naprawdę spotkała miłość. Wcześniej nigdy tego nie mówiła”.

A więc mógł to być ktokolwiek. Dlaczego akurat miałby to być mój brat Torsten?

Przecież wyszedł wreszcie na dobrą drogę. Przestał pić i już nie pił do końca życia. Żył w trzeźwości jako czuły mąż i ojciec. Od czasu do czasu próbował rzucić trochę światła na luki w swoim życiorysie. Dlatego, także w mojej opinii, mógł być tym człowiekiem, który występuje w liście Jona – tym, który odwiedził ojca Fridy w domu opieki. Człowiekiem, który odwiedził Holgera Landera na krótko przed odwiedzinami Jona i przekonał go, żeby odszukał stare dzienniki Fridy, ale widocznie stracił odwagę, żeby przyjść znowu i je pożyczyć.

A może był zbyt chory, żeby tam wrócić jeszcze raz?

To było osiem lat temu, pisze Jon. Osiem lat temu Torsten zachorował i dowiedział się, że musi umrzeć. Mógł też, co prawda, przyjść za późno, bo Jon bezwstydnie ukraść stare dzienniki!

To o tym mężczyźnie powiedział Lander, myśląc go z Jonem: „Pan przecież chodził z Ullą”.

Nie. Jon nie chodził z Ullą. Ale Torsten tak.

Takie to w sumie wszystko hipotetyczne, że nie fatygowałbym was – i nie plamił pamięci brata – gdyby nie pewna rzecz. I o niej też wspomina się w jednym z listów.

Ten, który nie chce się podpisać – i pozwalam mu zostać anonimowym, choć wiem, jak się nazywa i wiem, że tam był – zdając relację z nocy przed zaćmieniem, o pierwszym brzasku, pisze:

„Mężczyzna w mundurze wychodzi na skraj polany i macha ręką do Fridy”.

To działo się w noc poprzedzającą zaćmienie. Żołnierz i Frida obejmują się i całują. Obok namiotu, w którym leżą. Dalszy ciąg listu: „Gdybyś jeszcze nie spał w swoim namiocie, Allanie, to na pewno byś słyszał, jak on ją wabi w pułapkę”.

Nie spałem. I później, kiedy Frida zniknęła, wrzuciłem ciężarki do studni. Chciałem upozorować samobójstwo. Wiedziałem, że Frida cierpi na depresję, a wy jeszcze o tym nie wiedzieliście. A więc samobójstwo, a nie to, czego obawiałem się najbardziej. I tak też się stało, tak to zostało zrozumiane: jako poszlaka do teorii samobójstwa, bo Frida była przecież osobowością maniakalno-depresyjną. A czemu to zrobiłem?

Bo słyszałem tego dwunastego gościa, i to był mój brat.

*Z serdecznymi pozdrowieniami Allan*

## XII

### Zamknięte drzwi

*Drogi Allanie,*

Przez te parę tygodni, które upłynęły od wysłania listu do Ciebie, nie zaznałem spokoju. Moje myśli krążyły wokół dzienników Fridy (które osiem lat temu bezwstydnie zabrałem jej ojcu w domu opieki – dla kogo on je odszukał, nie dowiem się nigdy).

Któregoś wieczoru usiadłem i grzebiąc w stertach papierów sprzed ośmiu lat, znalazłem te pozółkłe dzienniki. Najpierw zajrzałem tu i tam, potem, za jednym zamachem, przeczytałem całość. Biedna dziewczyna. Tak duże wymagania od życia, tak wielkie oczekiwania. Dziennik chyba nie zawiera nic, co mogłoby wyjaśnić późniejsze wydarzenia związane z dniem zaćmienia Słońca. Zresztą jak mógłby? Kończy się w połowie czerwca 1954 roku. Ale jest w nim sporo celnych spostrzeżeń. Dotyczących między innymi Ciebie. Pojawiasz się, prawdę mówiąc, w ostatnim zapisku dziennika; Frida dokonała go na dobry tydzień przed naszym wyjazdem do Szwecji. Wysyłam Ci te skopiowane strony i tym samym uważam sprawę za zamkniętą. Życie toczy się dalej. Serdeczne pozdrowienia

*Twój Jon*

Sobota, 19 czerwca 1954

Długi, nierzeczywisty dzień, cudownie szczęśliwy. Wieczorem Allan z niezapowiedzianą wizytą. Wystraszyłam go, niestety, bo zachciało mi się mówić otwarcie.

On wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Nie mogę spać, więc zasiadam do pisania przy otwartym oknie. Jest jasno wzdłuż całej linii horyzontu na północy. Ciemniej nie będzie.

Obudziłam się wcześniej rano, nie sposób było znów zapaść w sen. Przez parę godzin świat należał do mnie. Sama jak palec, wskakuję na rower, jazda mnie rozgrzewa, ale po piętach depcze chłód. W domu wszyscy jeszcze śpią. Przez parę godzin robię notatki i zauważam – kiedy numeruję strony – że swoim lotnym piśmem zapełniłam ich ponad trzydzieści!

Bezchmurne niebo, robi się gorąco. Barometr wskazuje piękną pogodę. Leżę w ogrodzie i uczę się, mama chodzi po mieszkaniu ciężkim krokiem, żeby rozbudzić Ulłę, która wróciła późno do domu. Bez Torstena. Nie było komu naskrobać na moich drzwiach pozdrowień.

Papa, trochę na pokaz, pracuje w ogrodzie. Od czasu do czasu piele, potem przychodzi, siada obok i przepytuje mnie z glikogenolizy anaerobowej. Pochrząkuje zadowolony, znów piele, ale zaraz znowu jest z powrotem. Chce wiedzieć, jak się czuję. Dziękuję, dobrze. Przysiada tuż za mną w kucki, a ja się pilnie uczę. Gładzi mnie parę razy po karku, jak wtedy, kiedy byłam mała. Moje najlepsze miejsce. Silne ręce papy.

Na werandę wychodzi Ulla. Jej wzrok jest z pewnością utkwiony na ręce ojca, ale my na Ulłę nie patrzymy, papa i ja. Jestem tak cudownie szczęśliwa, że aż mi się zbiera na płacz, kiedy on gładzi mnie po karku. I chyba nic nie zauważa – choć, bo ja wiem?

A później mama. Uważa, że to bardzo zły pomysł, że mam się tak objąć, zupełnie sama, przez całą sobotę i niedzielę. Biedna moja mamusiu, gdybyś ty wiedziała, jak mi jest dobrze. Ty nawet nie wiesz, mamusiu, jak może być dobrze. Mama zniża głos: wszystko z tobą w porządku? Siadam raptownie i tak chwytam ją za ramiona, że aż się wystraszyła, i mówię, że oczywiście, wszystko ze mną w porządku, czuję się bardzo dobrze.

Bardzo, bardzo, bardzo dobrze.

I kiedy już w końcu siedzą we troje w samochodzie, on nie chce, niech to jasna cholera, ruszyć z miejsca! Jedź! No, jedź! Staję przy furtce, widzę, jak papa otwiera maskę, stawia diagnozę i nie brudząc ani jednego palca, wykonuje na systemie zapłonowym precyzyjny zabieg chirurgiczny. Hajda!

Trzaśnięcie maską. Samochód rusza i sunie przez Sundvaenget; już jest jak mała zabawka, wreszcie znika z mojego pięknego dnia. Niby brzęczący owad, od którego zdołałam się opędzić.

Chodzę po opuszczonych pokojach z małym kieliszkiem zbyt słodkiej madery z szafki na wino. Wypiję ten jeden; za nic w świecie nie chcę nowej chemicznej ingerencji w mój duchowy wyż. To właśnie dlatego wyrzucam codziennie tę idiotyczną pigułkę – na wypadek, gdyby się komuś zachciało je liczyć. Zawijam ją w kawałek papieru toaletowego i spuszczam wodę. Jestem na wszystko otwarta.

O wszystkim może zdecydować choćby moneta.

Na gramofonie leży jedna z płyt Ulli, puszczam ją, to walc „Tennessee”. Podśpiewuję, zupełnie jak moja siostra Ulla, w takt refrenu:

*I remember the night –  
and the Tennessee Waltz  
– now I know – just how much  
– I have lost.*

No tak. Litować się nad sobą, to potrafimy wszyscy. Stoję i kołyszę się w takt, nie wiem, czy mi brak kogoś do tańca. Mężczyzny, który wie, jak poprowadzić? Tylko czy ja się chcę dać prowadzić? Nie. Nie w tej chwili. W tej chwili prowadzę się sama. Wolna Frida.

Chociaż czasami niezupełnie sama – tyle że nie jest ich zbyt wielu; zresztą Jon – nie, Lasse – ledwie, ledwie. Papa jest właściwie jedynym mężczyzną, który mógłby usunąć Torstena w cień – jak z podręcznika! Ta finezja papy na sali operacyjnej – tu, w ogrodzie, jego palce na moim karku – ale czy ja tęsknię za delikatnością? Nie, a już zupełnie nie wchodzi w grę kazirodztwo! I właśnie dlatego... Torsten. Szybka, wspólna jazda w dół i w górę – czasem na samo dno, w najbanalniejsze podziemia.

Siadam w przedpokoju przy telefonie, wysuwam tabliczkę z numerami i odnajduję numer Torstena, starannie wykaligrafowany przez Ullę. Tylko czy ja w ogóle za kimś tęsknię? Orzeł czy reszka? Moneta mówi, że reszka, ja też, bo jestem głodna, więc wsuwam tabliczkę pod telefon, monetę do portmonetki i idę do kuchni odgrzać resztki jedzenia.

A potem siedzę z książkami w swoim pokoju na górze, na parapecie, przy otwartym oknie; chcę zobaczyć, kto nadchodzi, a kto opuszcza naszą ślepą uliczkę. Otworzyłam drzwi na schody, żeby mieć przewiew i słyszeć telefon, gdyby zadzwonił.

Nie dzwoni.

Ale pod wieczór Torsten przyjeżdża na rowerze. Orzeł! Moje wzburzone serce wali w klatkę żeber. Ale nie, to nie on, to tylko ktoś, kto w równie wściekły sposób staje w pedałach. I ktoś, kto wraz z rowerem rzuca przed siebie długi, zygzakowaty cień. Nieznajomy rowerzysta przestaje pedałowac, zeskakuje z roweru przy naszej furcie i wcale nie jest taki znowu nieznajomy. Co prawda, to nie Torsten, ale ciepło...

To mały Allan. Opiera rower o żywopłot, zdejmuje latarkę i chowa do kieszeni. Jest, zdaje się, zaskoczony, że zastał mnie samą. Nie może złapać tchu, i to nie tylko z powodu jazdy. Miły. Uważający młody człowiek. Bardzo młodziutki.

Zapraszam go na herbatę. Już w kuchni obwieszcza mi tę wielką nowinę. Jedziemy do Smålandu, jedziemy zobaczyć zaćmienie! I to nie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach, nie w dziewięćdziesięciu dziewięciu, ale w stu! Całkowitą noc w środku jasnego dnia! Jest uzbrojony po zęby w wiedzę astronomiczną i praktyczne wskazówki. Załatwił, że będziemy mieszkać w domu Barbary. Kupił szkiełka i już je poprzcinał, okopci, jak będziemy na miejscu. Dla Ulli i dla mnie zorganizuje przejazd samochodem. Sam zamierza jechać rowerem.

– Razem z Torstenem? – pytam.

Podaję mu tacę z zastawą do herbaty, wychodzimy z kuchni. Taca jest ciężka, musi nią balansować. A mimo to rzuca na mnie szybkie spojrzenie.

– Torsten nie jedzie – mówi. – Nie wiedziałaś? Na Bornholmie są ćwiczenia.

– Szkoda – odpowiadam.

Przypatrzył mi się uważnie.

– Ulli – dodaję.

– Tak – mówi. – A szczególnie Torstena. Bo na Bornholmie zaćmienie wcale nie będzie całkowite.



Co za dzieciak...

Ale wchodząc po schodach na górę, myślę: zna Torstena całe życie. Nie wie wszystkiego, bo nikt tego nie wie, ale prawdopodobnie wie coś, czego ja nie wiem...

W pokoju pijemy herbatę. Allan rozgadał się na temat zaćmienia. Ustala godzinę. To, co wymierne, wyliczalne, dodaje mu pewności siebie; siedzi pośrodku mojej kanapy, na samym brzeżku, i opowiada o koronie, o protuberancjach i Bóg wie czym. Siadam na parapecie; odległość między nami daje poczucie bezpieczeństwa, ale słysząc wibracje w jego głosie. Być może także w moim. Wpada mi do głowy szalony pomysł. Już za chwilę podzielę się z nim czymś więcej, na co nie liczył. Swoją lekkością i swoim ciężarem. Spadł mi jak z nieba. Ale muszę uważać, bo oboje jesteśmy słabymi ludźmi.

Kiedy tak gada jak najęty, dzieciaki na drodze rodzice zwołują do domów. Jedno po drugim. Słysząc osamotnione głosy tych, które jeszcze się bawią. Z jakiegoś powodu zaczynam czuć, że moja egzystencja wisi na cienkiej niteczce, która w tym momencie, o dziwo, łączy mnie właśnie z młodszym bratem Torstena. Tylko dlaczego? Przerrywam mu relację o wietrze słonecznym.

– Allan – mówię – czy wy się z bratem lubicie?

Odpowiada, że tak. Odstawia kubek. Nie zapaliliśmy światła, nie widzę jego twarzy.

– Zdarza się, że się bijecie? – pytam.

– To już kopa lat – odpowiada.

– Czy kiedykolwiek zdarzyło się... – szukam słowa. – ...że mu odbiła szajba? Na przykład kiedy się biliście?

– My się nie bijemy już od wielu lat.

– Ale chyba rozumiesz, co mam na myśli? Z tą szajba?

Głęboko się zastanawia.

Potem spuszcza wzrok i mówi, że tak.

– Ale to się przecież może przydarzyć każdemu, nie tylko mojemu bratu – dodaje szybko.

– Allan, kochasz swojego brata?

Nim zdążył odpowiedzieć, mówię dalej.

– Bo ja tak. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Nie, nie zdaje sobie sprawy. A w każdym razie nie chce o tym mówić. Siedzi i długo patrzy w swój kubek, a ja się hamuję, żeby go nie przyprzeć do muru jeszcze bardziej.

– Torsten – mówi w końcu z naciskiem, jakby coś trzeba było definitywnie przypieczętować – Torsten chodzi z Ullą.

– Tak – słyszę samą siebie. – Pieprzy się z Ullą. Ale pieprzy się także ze mną.

Mówię to cicho. Allan absolutnie nie reaguje, tak że zastanawiam się, czy w ogóle to usłyszał.

– Przepraszam – dodaję. – Tak mi się po prostu wyrwało.

Podnosi się. Ostrożnie, jakby bał się przewrócić coś na stole. I kiedy wstaje, uprzytamniam sobie, jakże to dla mnie cholernie ważne, żeby nie odszedł.

Jestem chyba w stanie bardziej maniakalnym, niż sądziłam. I nagle boję się zostać sama. To wszystko stało się tak szybko.

– Przepraszam – mówię. – Ale nie czuję się zbyt dobrze.

On stoi i patrzy na mnie bezradnie.

– Myślałam, że chodzisz z Jonem – mówi. – W Szwecji zarezerwowaliśmy pokój dla was obojga.

– No jasne, że tak.

Długa pauza. Mówi w końcu.

– To, co przed chwilą powiedziałaś... zapomnę o tym. Co mnie to obchodzi.

Kieruje się do drzwi.

Ciągle jeszcze mam uczucie, że moje życie związane jest z jego życiem, że łączy nas cienka niteczka, której nie wolno zerwać.

– Nie idź – mówię.

Stoi w otwartych drzwiach. Nie mam odwagi powiedzieć więcej.

Stoi długo, przygląda mi się i w końcu pyta:

– Co ci dolega?

– Akurat teraz jestem, zdaje się, w stanie maniakalnym. Ale najgorsze mam już chyba za sobą. Nie mógłbyś usiąść?

– Będziesz żałowała, jeśli powiesz więcej – mówię.

Zaczynam być na niego zła. Uważam, że to z jego strony małostkowe, tak nawiać. A już najbardziej jestem zła na samą siebie, że byłam taka głupia i go wystraszyłam.

Opiera się o drzwi, skrzypią w zawiasach przy najmniejszym ruchu.

– Allan – mówię – nie mógłbyś po prostu usiąść i mnie wysłuchać?

– Pożałujesz.

I równie nagle, jak postanowiłam zatrzymać go za wszelką cenę, zmieniam zdanie. Teraz jestem na szczęście bardziej zła na niego niż na samą siebie. Zepsuł mi wieczór. Chcę znów być sama, sama i równie zadowolona, jak wówczas zanim się pojawił. Odgłos skrzypiących drzwi działa mi na nerwy.

– To znaczy, że wychodzisz? – pytam.

– Tak.

– Więc czemu jeszcze tu jesteś?

– Bo... – mówi i szuka słów, a drzwi skrzypią i skrzypią – ...bo ja zawsze myślałem, że ty jesteś...

I tak mocno przywiera ciałem do drzwi, że skrzypienie w końcu ucicha.

– ... idealna – mówi wreszcie. – I taka masz być nadal. Dlatego już idę. Zobaczymy się w Szwecji.

Odwraca się i wychodzi na schody, ale przypomina sobie, że zostawił otwarte drzwi. Robi półobrót, żeby je zamknąć. I widzę, jak się przymykają. Widzę wystraszonego chłopca, który znika w coraz węższej szparze.

I zaraz potem widzę go na drodze, plecami do mojego okna. Odpina łańcuch roweru, zakłada latarkę i kręci nią, póki nie zabłyśnie.

Widzę, jak odjeżdża. No i cześć.

Przez moment czuję, że choć dosięgłam wyżyn szczęścia, to zaczyna mnie ono jednak opuszczać. Ale, myślę się, dzięki Bogu. Czeka mnie go jeszcze więcej. Marznę, bo noc jest zimna, lecz w moim dygotaniu jest masa nowego szczęścia.

Zobaczymy się w Szwecji?

Orzeł czy reszka? Czeka mnie randka? O tym zadecyduje moneta, która kręci się wokół własnej osi na parapecie okna. Upada orłem do góry.

No pewnie, że czeka mnie randka.